

Wiadomości Polskie

THE POLISH NEWS WEEKLY

POLITYCZNE I LITERACKIE TYGODNIK

ROK II — NR. 20 (62) — LONDYN
NIEDZIELA 18 MAJA 1941

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
36, GREAT RUSSELL ST., LONDON, W.C.1
Telefony: MUSEUM 2346 i 2563

PRENUMERATA
kwartalnie

w Anglii 6s. 6d.
w innych krajach \$1.50

Należność za prenumeratę prosimy przekazywać
czekiem lub „Postal Order“ na zlecenie:
M. I. KOLIN (Publishers) LTD.

przełożył ROMAN SAS-KULCZYCKI

VIOLET MASON

DZIEJE ANGLJI

z książki napisanej specjalnie dla Polaków w Wielkiej Brytanji

CZASY PRZEDHISTORYCZNE

Ku swemu — bezwzrostu wielkiemu — szczęściu Anglja jest wyspą; jednak nie zawsze tak było. Pierwsi jej mieszkańcy i przedstawiciele świata zwierzęcego przybyli tu drogą lądową w czasach, kiedy kontynent rozciągał się daleko poza brzegi Irlandji, a wyspy brytyjskie stanowiły część Europy. Tamizą była wówczas dopływem Renu, a w epoce lodowej potężny lodowiec czołem swym sięgał południowych obszarów Anglii środkowej (South Midlands). Nawet w czasach późniejszych, już po utworzeniu się mórz, pomost lądowy łączył Anglię z macierzystym kontynentem w miejscu dzisiejszej cieśniny Kaletajskiej (the Straits of Dover); tak więc pierwotny człowiek nie natrafiał na specjalne trudności w przedostawianiu się do tego kraju, wraz ze swoimi oswojonymi zwierzętami.

W czasie epoki żelaznej, laguny i bagna, czy nawet małe otwarte morze w okolicach Downton, również nie były zbyt trudne do przebycia w małych żwrotnych korałach, czyli łodziach ze skóry opiętej na szkielet trzcinowy. Ci ludzie epoki żelaznej zwani byli Brytyjczykami lub Brytonami, t.j. ludźmi odzianymi w suknie. Należeli oni do tego samego pnia barbarzyńców, którzy pod nazwą Galów w r. 390 przed Chr. wstrząsnęli posadami Rzymu, a w r. 278 zaatakowali Delfy, by w końcu jako Galatowie osiedlić się w Azji Mniejszej. Był to typ jasnowłosy, wysokorosły,

rozmaitości. W wojnie i wianach językiem t.zw. celtyckim. Wyparłszy tubylców w górzyste dzienne zachodnie i północne, Brytoni osiedlili się w nizinnej części wyspy. Aczkolwiek „barbarzyńcy“ w stosunku do Rzymu, posiadali oni pewne wiadomości o obróbce metali, budowali bite drogi dla ruchu kołowego i wzniesli wielką świątynię z kamienia ciosanego w Stonehenge; byli doskonałymi jeźdźcami i używali groźnych wołów wojennych z kosami przymocowanymi do kół. Religiję Brytonów był druidyzm, którego ślady stanowią liczne świątynie i kamienne koliska. W czasach późniejszych liczni autorzy podają szereg ciekawych faktów, dotyczących druidyzmu, lecz brak dostatecznych dowodów ich prawdziwości; pewne jest tylko, że Brytania była ośrodkiem kultu druidycznego i że za taki ośrodek była uważana przez druidów z Galji.

Górzyste dzienne Anglii i Walji zamieszkałe były przez wcześniejszych przybyszów; część ich prawdopodobnie należała również do pnia celtyckiego, część zaś wydaje się być pochodzenia całkiem odrębnego, znacznie starszego i pokrewnego Iberom zamieszkującym wówczas półwysp hiszpański. Pozostawali oni wciąż na prymitywnym szczeblu rozwoju, ale stopniowo, dzięki silnie rozwiniętemu handlowi wymiennemu, przyswajali sobie elementy kultury epoki żelaznej. Wymieniali swe towary na broń żelazną, wysoko wówczas cenioną, w stopniu znacznie silniejszym, niż to czynią dzisiejsze dzikie plemiona, oddając swe futra i złoto za karabiny. Jaki był ich pierwotny język — niewiadomo; z chwilą przybycia Brytonów język celtycki stał się językiem panującym powszechnie, a dawna ich mowa uległa bardzo szybko zupełnemu zapomnieniu. Szkocję zamieszkiwali niespokojni i tajemniczy Piktowie, naród dziki, o którym prócz tego że tatuowali swe twarze i całe ciało, właściwie nie wiemy.

Na długie wieki przed narodzeniem Chrystusa przybywali do Kornwalji po cynę Fenicjanie, strzegąc jednak zazdrośnie drogi do swej tajemnicznej „Wyspy Cynowej“.

W połowie w. IV przed Chr., astronom grecki Pytheas, rodem z osady greckiej Massilia (Marsylja), opłynąwszy brzegi półwyspu hiszpańskiego, zmierzając ku Brytanji, zobaczywszy jednak że wody cieśniny Kaletajskiej są pełne mielin i raf, uznał je za zbyt niebezpieczne dla swego okrętu i odstąpił od zamiaru.

CZASY RZYMSKIE

Za datę, rozpoczynającą historyczny okres dziejów Anglii, przyjmuje się powszechnie r. 55 przed Chr., t.j. datę wyładowania wojsk Juliusza Cezara na południowo-wschodnim wybrzeżu wyspy. Odwiedzin Cezara nie miały bynajmniej celów pokojowych, nie były pożądane przez Brytonów i spotkały się z ostrym sprzeciwem z ich strony. Odbłyły się one tuż po podbiciu Galji; w czasie kampanji galijskiej Brytoni wspominali pokrewnych i zaprzyjaźnionych z nimi Galów w ich walce z najeżdżcą rzymskim. Cezar w swych pamiętnikach poświęca tej sprawie, jako też wyprawie brytyjskiej, sporo

miejsca, i aczkolwiek nigdy wyraźnie nie mówi, co właściwie było jej celem, śmiało jednak możemy przyjąć, że gdyby nie zacięty opór Brytonów, byłby z całą pewnością przyłączył nową prowincję do szeregu innych, już zdobytych przez niego dla Rzymu.

Przez blisko sto lat, po niefortunnej wyprawie Cezara, nowy atak ze strony rzymskiej na wyspę nie został ponowiony. Nie ulega jednak wątpliwości, że stosunki pomiędzy Brytanią a Galją, jako krajami zamieszkałymi przez pokrewnie narody, były nadal utrzymywane bez przerwy, oraz że ta właśnie droga Brytoni przyswajali sobie stopniowo elementy cywilizacji rzymskiej, łącznie z biciem monety. Dopiero cesarz Klaudjusz wysłał swą armię na podbój Brytanji.

Pomimo bohaterstwa obrony pod wodzą Karaktakusa, nizinna część wyspy została podbita i w ciągu paru lat całkowicie poddana Rzymowi. Wprawdzie królwa Boadicea, doprowadzona do ostateczności pozbawieniem wszelkich skrępowań postępowaniem Rzymian wobec ludności tubylczej, organizując powstanie zbrojne, bunt ten zostaje jednak krwawo stłumiony. Boadicea wybiera śmierć przez otrucie raczej, niż poddanie się wrogowi, i wkrótce po jej bohaterkiej śmierci pax romana (pokój rzymski) zapanował niepodzielnie w podbitym kraju. Nie tak łatwo poszło ujarzmienie części północnej i zachodniej. Podbój Walji pochłonął wiele lat, i dwa

legiony — jeden w Usk, drugi w Chester — musiały być utrzymywane w stałym pogotowiu, by zachować ład i porządek. Inny legion był stacjonowany w York; mimo to, niestanne napady niepokroszonych szczerpów północnych zmusiły króla Hadrianą do wybudowania między Tyne a Solway wału obronnego, któryby chronił resztę kraju przed temi najazdami. Wiele mil tego wału i biegnącej wzdłuż niego drogi wojskowej, można dziś jeszcze oglądać pomiędzy wzgórzami Northumberlandu. Brytania była więc nie tylko prowincją pograniczną, ale granicą imperium dzielnią ją, przecinając wyspę w poprzek. Rzym, mimo że był potęgą militarną, nie utrzymywał wewnątrz imperium garnizonów wojskowych. Legiony stacjonowane były jedynie wzdłuż granic, jako obrona przed napadami barbarzyńców. Wszędzie więc, gdzie były legiony, były t.zw. strefy militarne. Wnętrze imperium było spokojne i rządzone przez władze cywilne i prawo rzymskie, bez garnizonów i wielkorządów wojskowych. Nizina brytyjska była całkowicie zromanizowana, ucywilizowana, a więc nie było tu żadnych oddziaływo wojskowych, podczas gdy Walja i północna część wyspy stanowiły zawsze strefy militarne, o bardzo niskiej cywilizacji. Ani w Walji, ani na północ od Yorku nie napotykały ruin czy śladów wyl rzymskich; jedynie wspomnienia po Rzymianach tutaj, to strategiczne drogi i forty, znamienna okupacji przez legiony i pomocnicze wojska rzymskie.

Prowincja brytyjska rozwijała się pomysłnie; Brytoni z nizin, pociągnięci urokiem cywilizacji rzymskiej, szybko i chętnie uczyli się od swych zwycięzców. Poza wielkimi urzędnikami, jakiś napływ większej ilości osadników rzymskich zasadniczo nigdy się tu nie odbywał, a legiony reprezentowały zawsze mozaikę narodów wszystkich prowincji rzymskich, podczas gdy wojsk pomocniczych wogóle nigdy nie formowano z mieszkańców półwyspu Apenińskiego. Podbój rzymski nie miał więc cech podboju dokonanego przez ruchy narodów; był to podbój przez cywilizację, organizację, system i administrację. Barbarzyńcy byli dumni z możliwości uczenia się, zostania obywatelami rzymskimi, a ich naczelnicy przekształcali się w zromanizowaną arystokrację i budowali sobie wspaniałe wille z kamiennymi posadzkami, łazienkami i ogrzewaniem pokojami. Powstawały liczne miasta, a doskonale gościnie i mosty zapewniały między nimi szybko i wygodną komunikację. Wiele artykułów przywożono i naturalizowano, i naodwrot, niektóre artykuły żywnościowe pochodzące z Brytanji podawane były na wspaniałych biesiadach w Rzymie. Wykopalska czy też dzieje pisane niewiele jednak nam mówią o rzymskiej Brytanji. Wprawdzie archeologowie odsłanili przed nami potężny żrób wiadomości, ale wiele z nich jest wciąż jeszcze niepełnych i niedostatecznych jasných w szczegółach. Tak np. nie wiemy, czy język łaciński wyparł całkowicie rodzimą mowę celtycką, czy też oba języki były równocześnie w swobodnym użyciu. Tak samo nie wiemy, kiedy i jaką drogą zostało wprowadzone do Brytanji chrześcijaństwo. Natomiast wiemy

z całą pewnością, że trzech biskupów brytyjskich brało udział w soborze w Arles i że w 45 lat później wielu brytyjskich biskupów uczestniczyło w soborze w Rimini.

Dobrze znany św. Alban, od którego imienia pochodzi nazwa St. Albans, był prawdopodobnie umęczony w czasie prześladowań za panowania Dioklecjana. Powiadają, że Konstancyj Wielki miał się urodzić w York. Odkopane w Silchester fundamenty kościoła chrześcijańskiego z w. IV reprezentują swym rozmiarem i stylem typ kościołów spotykanych często we Włoszech i Afryce. Wydaje się wiele prawdopodobne, że pod koniec w. IV religia chrześcijańska była szeroko rozpowszechniona w całym kraju, z wyjątkiem tych dzielnic, w których stały rzymskie legiony.

Okupacja rzymska trwała nieco dłużej niż 350 lat, i w tym czasie nizinna część Anglii znalazła w swej historii prawdopodobnie najdłuższego okresu pokoju. Jeśli bowiem nawet były jakieś zamieszki na pograniczu, trzęsły się o nie garnizony wojskowe a nie szczęśliwy obywatel prowincji.

KONIEC PANOWANIA RZYMSKIEGO

Na zewnątrz granic imperium rzymskiego żyły szczerp barbarzyńców, gotowych każdej chwili wtargnąć, — co się im zresztą nieraz udawało, — i naodwrot, często poskramianych przez rzymskie ekspedycje we własnym kraju. Tymczasem pod nieustępliwym naporem Hunów, rozpoczął się wielki ruch narodów Europy środkowej; równocześnie od strony morza Północnego wdzierał się na swych statkach Saksini, szukający łupów i nowych terenów do osiedlenia. Jeszcze z końcem w. III utworzony zostaje nowy urząd rzymski, hrabiego wybrzeża saskiego, którego zadaniem była budowa twierdz i okrętów oraz obrona południowo-wschodnich wybrzeży Anglii przed najeżdźcami.

Potęga Rzymu ulegała rozkładowi od wewnątrz. Nacisk barbarzyńców, rywali-

zacja cesarzy proklamowanych równocześnie przez różne armie, przekupstwo w samym Rzymie, nierząd na obszarze imperium, obejmującego cały ówczesny świat cywilizowany, i w końcu groźne wtargnięcie plemion Europy środkowej — wszystko to razem zmusiło cesarzy do wycofania swych wojsk ze stacyj pogranicznych. W r. 402 legiony opuściły mur Hadrianą, a w chwili, kiedy Alaryk na czele swych Gotów atakował Rzym, nie było już ani jednego żołnierza rzymskiego na terenie Brytanji.

Dwa wieki, które nastąpiły po wycofaniu wojsk rzymskich, toną w mrokach. Zapewne Brytoni dokładali wszelkich starań aby utrzymać porządek i ład w kraju i stawiali silny opór saskim najeżdźcom. W r. 446 zwracają się o pomoc do Rzymu, ale ta nigdy nie nadeszła; Brytania była zupełnie odcięta od reszty imperium.

Wczesne najazdy Saksaków miały wyłącznie na celu łupiestwo, grabież i pożogę. Później jednak zaczęli się oni osiedlać, początkowo w Kent, skąd stopniowo parli na południe i wschód. Wydaje się jednak wiele prawdopodobne, że był to naród niedolny do życia w cywilizowanych miastach i domach. Wszędzie tam gdzie natrafiali na ślady ich pobytu, jak dotąd nie znaleziono ani jednej wili rzymskiej czy osiedla. Poprostu były one palone i doszczętnie burzone. Jedynym źródłem naszych wiadomości o tych czasach są opisy Gildasy, mnicha brytyjskiego, urodzonego ok. r. 500 w okolicy Glasgow. Píše on mniej więcej w połowie w. VI, niedokładnie i w Jeremjaszowym stylu; niema jednak w tych czasach żadnego innego piszącego. Wychowany w starej tradycji rzymskiej, co z pewnością było już wówczas rzadkością, opisuje ludzi, którzy z reguły są chrześcijanami, oraz szereg, jak się zdaje ważnych, współczesnych mu ksiąg, na których rzucił gromy za ich grzechy, rzadko jednak wymieniając nazwiska.

Większość legend skupia się dookoła postaci bohaterów, jak np. król Artur,

którzy niewątpliwie musieli być rzeczywistymi przywódcami ludu w w. V i VI, lecz prócz imion nich pewnego o nich nie wiemy.

Cóż zatem pozostało z cywilizacji rzymskiej? Bardzo mało. Stopniowo Sasi opanowali cały obszar dzisiejszej Anglii, z wyjątkiem Kornwalji, Devon, Lancashire, Cumberland i Westmoreland oraz części hrabstw położonych nad granicą walijską. Do wnętrza Walji Sasi nigdy nie dotarli. Cała materialna spuścizna Rzymu, miasta i domy wraz z ówczesnym komfortem uległy zagładzie; pozostały jedynie drogi i mosty, które acz zaniedbane i nie-
naprawiane, przetrwały długie wieki.

Ludy, zamieszkujące Walję, nie przyswoili sobie nigdy całkowicie ani kultury ani cywilizacji rzymskiej, i należy przypuszczać, że rodzima mowa brytyjska nie została wyparta przez język łaciński. Poszczególne jednostki, być może, starali się przez pewien czas jeszcze podtrzymywać tradycje i nauki rzymskie, lecz zmuszone nowymi warunkami, opuszczali swe piękne domostwa; krwawy żnój, orężna walka i pożoga zapanowały w całym kraju. Zaiste były to czasy, kiedy jedynie w mniszej celi tlić się mogła nadzieja lepszego bytu, życia w pokoju i wiedzy; już tylko mniisi, aczkolwiek sami często poddawani ciężkim próbom losu, mogli starać się ratować przynajmniej co cenniejsze resztki świętej niegdyś tradycji Rzymu.

Nie tylko sami Sasi zaatakowali Brytonów, w Argylshire osiedlili się Szkoci, naród przybyły z Irlandji, i utworzyli tu królestwo, które następnie otrzymało od nich swą nazwę. W porozumieniu z Piktami zaatakowali oni mieszkających na południu Brytonów, równocześnie dokonywając od zachodu najazdu przez morze. W tych niewątpliwie bardzo ciężkich warunkach, wielu Brytonów poniosło śmierć, inni chronili się do sąsiedniej Walji, Kornwalji i Strathclyde, lub przekraczali kanał i osiedlali się w Bretanii; liczba ich musiała być wcale pokątna, skoro kraj ten zatracił wkrótce swą łacińską kulturę i stał się całkowicie brytyjski. Znaczna jednak część prawdopodobnie popadła w niewolnictwo, i wiele kobiet brytyjskich zostało przez Saksaków gwałtem pojętych za żony. Niema na to dowodów, ale niektórzy historycy przyjmują, iż w kraju nie ocalał się ani jeden z Brytonów; zostali oni bądź poprostu wymordowani, bądź siłą wypędzeni. Antropologowie natomiast twierdzą, że różnica pomiędzy nami, a naszymi brytyjsko-rzymskimi poprzednikami jest bardzo mała; lecz jeśli nawet krew brytyjska przetrwała, to element saski w takim stopniu zawiądł krajem, że doprawdy niewiele śladów języka brytyjskiego, czy też kultury łacińskiej, możemy znaleźć w dzielnicach saskich, o których skądinąd posiadamy wcale dostateczne wiadomości.

INWAZJA SAKSOŃSKA

Dotychczasowym tematem naszych rozważań byli Brytoni, obecnie zwróćmy uwagę na ich nieprzyjaciół. Saksini nie byli jedynymi tylko najeżdźcami; pod wodzą swych naczelników przybywali tu również ich pobratymcy: Jutowie i Angylowie. Stanowili oni odłam teutońsko-germańskiego plemienia jasnowłosych, nienabiskookich, dzikich wojowników, nienawidzących miast i bardzo mało cywilizowanych. Przybywali z okolic ujścia rzeki Elby, łupiąc podczas swych zbójczych wypraw zarówno brzegi Anglii jak Francji.

Początkowo były to małe, zwinne desanty na wybrzeże; złupić, spalić i popędzić odpłynąć. Szcześnie jednak, najazdy te stawały się coraz częstsze, i coraz liczniejsze grupy przybywały, wdzierając się coraz głębiej we wnętrze wyspy. Aż do połowy w. V, t.zn. blisko pół wieku po opuszczeniu wyspy przez wojska rzymskie, Saksini i ich pobratymcy nie starali się bynajmniej osiedlać. Liczne są opowiadania o wodzach i bitwach, atakach i mordach, lecz większość ich jest całkiem legendarnego pochodzenia. Pierwsi osiedlili się Jutowie, zajmując, podobno pod wodzą Hengista i Horsa, mniej więcej dzisiejsze Kent. Następnie w Sussex (South Saxon) osiedlają się Saksini, a Angylowie opanowali Norfolk (North-folk) i Suffolk (South-folk), dzielnie dziś jeszcze obejmowane ogólną nazwą Anglia Wschodnia (East Anglia). Nieraz — jak głosi tradycja — bitwy wygrywane były przez Brytonów, czasem znów przez najeżdźców; ważne jest jednak zdawać sobie zawsze jasno sprawę, że trudno to właściwie mówić o jakimś zorganizowanym podboju czy planowej kampanji. Niewątpliwie opór Bry-

tonów musiał być bardzo silny, skoro na podbój nizin angielskiej stracili Saksini zgóścić sto lat. Wtedy to właśnie — jedynemu co wiemy z pewną dokładnością — Brytoni zostali wyparci do Walji, Kornwalji, Devon i Strathclyde (obszary położone między Chester, Pennines i ujściem rzeki Clyde). Następnie Saksini zajęli resztę Anglii i nizinną część Szkocji mniej więcej aż po Forth.

Piktowie wciąż jeszcze mieli swe królestwo, lecz Szkoci stawali się czynnikiem coraz bardziej dominującym, tak że w końcu język piktyjski został zupełnie wyparty przez szkocki i król szkocki zasiadł na tronie. Brytoni i Szkoci byli chrześcijanami; św. Columba, Szkot rodem z Irlandji, osiedlił się w Iona i nawracał na wiarę chrześcijańską pogańskich Piktów.

Saksini natomiast byli poganami, czcącymi Tora i Odyna — nienawidzili oni i niszczyli wszystko co w chwili swego przybycia zastali w kraju.

KRÓLESTWO SASKIE

Z końcem w. VI znajdujemy w Anglii szereg drobnych królestw, utworzonych przez różne grupy najeżdźców, których naczelnicy obwoływali się królami. Walki z Brytonami w Walji trwały w dalszym ciągu, lecz bynajmniej nie mniej zacięte boje staczali między sobą poszczególni królowie saski. Najstarsze ze wszystkich saskich królestw było Kent; ono

pierwsze sięgnęło po hegemonię nad innymi. Ethelbert, król Kentu, pojął za żonę córkę frankońskiego króla Paryza, Bertę; była ona chrześcijanką i niewątpliwie udzieliła sporo pomocy, przysługęmu przez papieża Grzegorza, mnichowi Augustynowi, w jego misjonarskiej pracy nawracania pogańskich Saksaków. Oficjalną więc datą restauracji chrześcijaństwa w Anglii jest r. 597. W Canterbury Augustyn zakłada pierwszy kościół, i od tego czasu arcybiskup Canterbury jest równocześnie prymasem Anglii. Brytoni z Walji byli chrześcijanami, lecz zarówno celtycki jak irlandzki i szkocki kościół, będąc wskutek inwazji saskiej przez przeszło sto pięćdziesiąt lat zupełnie odcięty od Rzymu, rozwijały się swą własną, od nikogo niezależną drogą. Obecnie Augustyn rościł sobie prawa do naczelnej władzy nad wszystkimi biskupami w Brytanji i jak się zdaje traktował ich w sposób niezbyt grzeczny. Nie ulega wątpliwości, że zachodziły tu pewne odstępstwa czy nawet herezje — wystarczy wspomnieć różnice w obliczaniu daty Wielkiejnocy czy też niejasne szczegóły dotyczące chrztu — lecz znacznie bardziej irytujący był fakt domagania się zwierzchnictwa nad starymi brytońskimi biskupstwami przez nowoutworzoną „parweniżowską“ diecezję w Canterbury (która w dodatku mogła mieć wkrótce swego saskiego biskupa), do czego dążył się wręcz nie do przyjęcia nakaz Augustyna, by łącznie z nim szli pomiędzy swych wrogów głosić słowo Boże. Kościół celtycki odrzucił dyrektywy Rzymu i oddzielił się całkowicie od niego. Miejscem spotkania się obu kościołów była Northumbria, najbardziej na północ wysuniętą część królestwa angielskiego; niektórzy jej mieszkańcy zostali nawróceni na wiarę chrześcijańską przez mnichów z Iona i Lindisfarne, inni natomiast stawali się gorliwymi zwolennikami Rzymu i Canterbury. Ostatecznie decyzją synodu w Whitby, przystąpienie Anglii do Rzymu zostało przesądzone, i tym sposobem Anglia dostała się w obręb organizacji i kulturalnych wpływów Rzymu. W niewiele lat po synodzie, niedaleko od Whitby, urodził się Bede, przysły mnich Jarrovvu, znany jako „Czcigodny Bede“, ojciec historii Anglii. Był to istotnie mąż światobliwy, pracowity i wysoce uczony; napisał on około czterdziestu dzieł, nieomal z każdej dziedziny wiedzy, i jest naszym pierwszym autorytatywnym źródłem historycznym dla okresu saskiego.

W wyniku gwałtownych sporów i wojen utworzone zostały ostatecznie trzy królestwa angielskie, mniej więcej równe co do swej wielkości: Northumbria (na północ od Humber), Mercja i pośrodku i Wessex na południowo-wschodzie. Brytoni w Kornwalji i Strathclyde zostali stopniowo podbici, a granica Walji cofnięta znacznie na zachód. Nieraz ten, to znów inny z tych królów sięgał po władzę nad całą Anglią, bezwzględnie jednak, pierwszym królem, który rzeczywiście dokonał zjednoczenia Anglii, był Egbert, król Wessexu.

VIOLET MASON,
przełożył
ROMAN SAS-KULCZYCKI.

ANTONI SŁONIMSKI

NIKE SPÓD SAMOTRAKI

*Zrabano twą głowę dumną,
I białe twoje ramiona.
I stałaś nad dziejów trumną
Ogromną i uskrzydloną.*

*Jak kiedyś na greckiej nawie
Przez morskie błękitne szlaki,
Wiodłaś narody ku sławie,
Nike spod Samotraki!*

*Ku tobie, bogów kochance,
Podnosił wzrok kto był męczny.
Słyszeliśmy w „Marsyljance“
Skrzydła twych łomot potężny.*

*W ludów zwycięskim pochodzie
Ty byłaś zawsze najpierwsza.
Zawsze, zawsze najprzódzie,
Statuo z muzyki i wiersza.*

*I oto padłaś skrwawiona,
Kłękłaś nogami białymi.
Włecz się, muzu strącona,*

Jak ptak zraniony po ziemi.

*Nim dzień nadejdzie daleki,
O Nike zjaw i straszyle,
Włecz się twój kadłub kaleki
Bez ramion, głowy, bez skrzydeł.*

*W tę noc najciemniejszą Europy
Świecisz białością z głębiny,
A marmurowe twe stopy
Brodzą przez krew i runy.*

*A kiedyś świat się rozarzy
Blaskiem co złoci mogile,
Poznamy piękno twej twarzy
I ramion i skrzydeł siłe.*

*I znowu będziesz przed nami,
Przejrzysta i w słońcu złociasta.
Muzyko bijąca skrzydłami,
Nike wolności wieczysta!*

ANTONI SŁONIMSKI.

JAN LECHOŃ

*Od żalu nie wiekniiesz, nie wzdżiesz goryczy,
I każda twa pociecha — to widmo przesyłci.
Ach! Czegóż się spodziewa i nacóż to liczy
Każdy z nas, co na tyle patrzył nieczemności?*

*I tylkoś być zdziwiony, że jeszcze cię wzrusza
To drzewo cale w kwiatach, różowy wschód słońca,
I zyszesz aby twoja nieśmiertelna dusza,
Co dane jej przecierpieć, cierpiała do końca.*

*Cóż z tego że, coś kochał, przemija jak dymy,
Że po tych, co odchodzą — żal serce ci tłoczy? !
My z starym Sofoklesem spokojnie patrzymy
Na ten widok, przed którym chce się zamknąć oczy.*

JAN LECHOŃ.



KSAWERY PRUSZYŃSKI

KSIĘGA PONURYCH NIEDOPowiedzeń¹⁾

0 „Kampanji wrześniowej 1939 w Polsce“ gen. Mieczysława Norwida-Neugebauera

WE WRZEŚNIU

PLAN WOJENNY

Dyplomatyczne i gospodarcze przygotowanie wojny było więc jak najgorsze. Winne temu były przedewszystkiem czynniki wojskowe, albowiem, po pierwsze, nikt tyle nie miał do powiedzenia w Polsce co marszałek Smigły-Rydz, po drugie, bo takie błędy polityki zagranicznej, jak sprawa Słowacji, jak budowanie własnego przemysłu zbrojeniowego kiedy już na to było za późno, kiedy lepiej było u obcych zakupić broń, samoloty, dokonane zostały właśnie przy walnej ingerencji czynników wojskowych²⁾.

Te wszystkie sprawy, choć tak podstawowe dla klęski wrześniowej, porusza gen. Norwid-Neugebauer jedynie mimochodem. Trzyma się bowiem bardzo ściśle tematu jaki sobie zakresił: samej kampanji. Dla konstrukcji książki należącego do czytelnika polskiego, któryby poza tą konstrukcją nie wybiegał, nie pytał, nie badał.

Ale oto dochodzimy skości do spraw, które książka gen. Norwida-Neugebauera ujęła bardzo dokładnie. To już wydarzenia wrześniowe. To to co było we wrześniu. To kampanja. A najpierw, dwa plany kampanji: polski i niemiecki.

Jakżeż wygląda plan tej kampanji?

Nie posiadając, niestety, tego wykształcenia wojskowego któreby mi pomogło dokonać fachowej krytyki planu, z jakim nasz sztab przyjął dzień i września. Gen. Norwid-Neugebauer, dawny towarzysz marszałka Smigły-Rydz, wyraża się o tym planie możliwie powściągliwie. Ale wyraźnie przeciwstawia mu „przejrzystość celów“, jaka cechowała — jego zdaniem — plan niemiecki. O polskim powiedzieć tego nie próbuje.

Istotnie. Później nawet przyjrzenie się polskiemu „planowi“ dowodzi, że jeśli „planem“ nazywamy coś co ma pewną myśl przewodnią, zadania, cele do osiągnięcia, to planu — nie było.

Poprostu, wzdłuż olbrzymiej granicy niemiecko-polskiej porostawiano, jak była długa, szeroka i wygięta, to co miało wojska. Nicco za tem postawiono mgławicę odwodów. To było wszystko. Zamierzaniem pierwszym było bronienie wszystkiego. I Śląska — bo węgiel, i Krakowa — bo tradycja, i Gdyni — bo morze, i Poznania — bo taki polski. Zamierzaniem następnym był odwrót w głąb kraju, na lewy ręk, t.j. Wisły — jak mawiali jedni, — jak sądzili inni. Tu należało czekać na deszcz, żniwe, pomoc sprzymierzonej i dalszy bieg wydarzeń. Oto był plan polski w swej „myśli przewodniej“.

Nie kto inny ale gen. Norwid-Neugebauer wyśsuwa w stosunku do niego szereg pytań, które są szeregiem zastrzeżeń. Pyta, czy strona tak bardzo fachowa książkę, że nie próbujemy jej skomentować. Zwracamy uwagę czytelnika na co innego. Oto gen. Norwid-Neugebauer daje najwyraźniej do poznania, że owo rozstawienie wojsk wedle linii granic i owo bronienie wszystkiego było dowodem, że plan polski nie miał idea strategicznej. Na owym planie wojskowym zaważyły — jego zdaniem — inne względy. Względ na opinię publiczną. Na wrażenie, jakie wywoła w kraju oddanie Gdyni, Krakowa czy Poznania. „We wszystkich sercach polskich mogła być tylko jedna odpowiedź: nie“ — pisze na str. 40. Ale, choć wojskowy, sam dodaje: „tajemnica wojskowa jest obowiązkowa, ale nie byłoby wykręceniem zasięgnięciu opinii niektórych przedstawicieli narodu i utwierdzenie się w przekonaniu że społeczeństwo zdecydowałoby się na ofiarę przejściowego opuszczenia połowy kraju. Zmieniłoby na decyzję wyboru krótszej i terenowo wygodniejszej linii obrony“.

„Krótszej i terenowo wygodniejszej“. Tzn. takiej, która kosztowałaby nas mniej krwi przelanej rozstrutnie, Niemców zmusiła do cięższych ofiar, umożliwiła zatrzymanie ich rozpedu. Przynajmniej to general i były minister rządów pomogłych. Tragizm wyznania! Bo przecież poto właśnie zerwaliśmy z sejmem, aby na najważniejsze decyzje państwowe nie miały wpływu nastroje powszechne, opinie mas, ale a jedynie „względ rzeczy“. Okazało się jednak, że gdy przyszło do decyzji najważniejszej, ugięto się wobec nastrojów najpowszechniejszych. Może szlachetnych, ale najgłupszych. Liczono się z nimi. To nas kosztowało. I minister rządów pomogłych uważa dzisiaj, że trzeba było omówić te sprawy z przedstawicielami narodu, że wtedy można było uzyskać poparcie, wytłumaczyć społeczeństwu odwrót.

Kogo ma na myśli gen. Norwid-Neugebauer, mówiąc: „przedstawiciele narodu“? Mam nadzieję, że nie plk. Wendę, nie mjr. Galiną i nie „Ozon“. Myślę, że mowa jest o żołnierskiej i że ma na myśli prawdziwych przedstawicieli narodu, t.j. takich, których sam naród, w sposób

niekrepowany, wybrał. Jeżeli tak, to nigdy jeszcze instytucja parlamentu nie została uznana za tak pożyteczną, jak w owym skromnym zdaniu pomajowego ministra. T. zn., że rządząc wspólnie z przedstawicielami narodu można było w pewnym momencie oddać wrogowi połowę ziem polskich i jednak nie zafałszować psychiki narodu. Można było wykonać plan wojskowo lepszy. A przeciwnie, rządy wojskowe, które nie uznawały przedstawicieli narodu, nie znalazły w sobie dość mocy by wykonać taki plan wojenny, któryby zmusił wprawdzie do bolesnego psychicznego odwrotu, ale zato dawał szanse walki planowej, czyli skutecznej.

Dochodzimy tu do następującego wniosku.

1) Czynniki wojskowe uważały, że najlepszym planem strategicznym byłoby wycofanie się dalekie w głąb, oparcie się na liniach rzek.

2) Liczyły się jednak z reakcją społeczeństwa, które oddania bez walki Krakowa, Śląska, Gdyni i Poznania łatwoby nie zniósł.

(Nb., owe „nastroje społeczeństwa“ wywołały i rozdmuchały one same. Jeśli nieczytelne pisma rządowe i nieodpowiedzialni publicyści rządowi wmawiali narodowi tak długo że mamy arcycyganialnego wodza, znakomitych dowódców, zapiętą „na ostatni guzik“ armję, pełne arsenały, to tą bezmyślną robotą, nakazaną zgóry, utrudniali zadania armji, nie przygotowywali narodu. Przemowa Churchilla po objęciu władzy, z zapowiedzią trudu, znoju, lez i krwi, była lepszą lekcją wychowawczą. O, tylko wielcy durnie, albo wielkie lajdaki, mogą rezonować zniszczenie: „nie mamy się czego uczyć od obcych!“).

W rezultacie planu nie było. Była nakazana walka na granicach z cofaniem się w głąb kraju, ku nowym liniom obronnym. Ustalać to, sztab polski zapomniał o dwóch rzeczach. O tem, że niemieckie kolumny zmotoryzowane posuwają się szybciej niż piechota polska i że szybciej niż ona dotrą nieraz do nowych linii. A dalej i o tem, że żołnierz polski jest znacznie lepszy w natarciu niż w odwrocie.

W ten sposób, w owym kompromisowym pólpanie, z jakim nas zastał wczesny świt września, nie doceniliśmy i właściwości przeciwnika, i właściwości naszego żołnierza.

PIERWSZY OKRES KAMPANJI

Trzon książki gen. Norwida-Neugebauera poświęcony jest, niestety, nie owej „licytacji“ przedwrześniowej, jaka poprzedziła kampanję, tak jak w brzdę licytacji poprzedza rozgrywkę, a właśnie rozgrywkę, czyli samej kampanji. Ci wszyscy którzy rozumieją wraz ze mną, że kampanja wrześniowa nie została przegrana we wrześniu, ale przed wrześniem, zapewne odczują tu zawód.

Albowiem owa kampanja, nieprzygotowana nowoczesnie, pozbawiona jasnego, konsekwentnego planu, ma ogromnie mało walorów, jeśli chodzi o strategię. Jak mało walorów strategicznych przedstawiała walki Europejczyków z plemionami najbardziej bohaterskich Indian w Ameryce, tak samo bez znaczenia strategicznego musi być każda walka, gdzie dysproporcje uzbrojenia sprawiają, że o zwycięstwie decyduje nie genialność dowódców, ale wyższość techniczna ich oręża. W r. 1920 mogliśmy marszem na Siedlce zejść na tyły armjom sowieckim z przedpola Warszawy i Płocka, albowiem i my i oni znaliśmy, jako środki przetrwania mas wojska, albo milego konika, albo tyle sławione jeszcze wciąż w pieśni żołnierskiej „własne nogi dwie“. I my i oni. Sytuacja była wyrównana. Ale w 19 lat później, nowy nasz przeciwnik przetrwał motorami ogromnie silnego wojska w tempie takim, że wobec niego najsmutniejsze nawet myśli strategiczne były skazane zgóry na niewykonanie. Samolot dokonywał reszty. Napoleon niewieleby wskórał wobec przeciwnika uzbrojonego w karabin samoczynowy. Być może, że na naszych grach wojennych wykrzesaly się jakieś wielkie talenty strategiczne. Ale karygodne, niechlujne, kolektalne, zlekceważenie nowoczesności, wynalazku, myśli ludzkiej jako środka do wygrwania wojen, przez wielbiciele drylu, pomściło się fatalnie na nich samych. Nie mogli nigdy rozwinąć swych talentów w sposób szerszy. Kto wie, może strategicznie niejeżdżąc z naszych generałów nie był gorszy od niemieckich? Nie dowiemy się tego nigdy: bo niemieccy, niestety, dali lepszy od naszego dowód zrozumienia czym jest technika współczesna, nauka i myśl w służbie wojny.

Natomiast każdy z zainteresowaniem przeczyta te luźne uwagi, jakie przy omawianiu chronologii wypadków poświadczą gen. Norwid-Neugebauer dowodzeniu naczelnego wodza. Uwagi te cechuje niewątpliwie najszlachetniejsza powściągliwość w krytykowaniu pokonanego. A jednak trudno jest nie wytknąć tego, że naczelny wódz scentralizował szkodził dowodzenie w swoim ręku, że rozkazy parokrotnie odwoływał i cofał, że zastrzeżyl sobie decyzję w sytuacji, która raczej wymagała paru ośrodków decydowania, na różnych odcinkach frontu, sam czynił z niej użytek w sposób jak najdalszy od zdecydowania.

Pod tym jeszcze względem wydaje się że naczelny wódz tej kampanji nie korzystał z taktyki Marszałka Piłsudskiego. Marszałek, człowiek o niezwykłej osobowości, właśnie dawał podkomendnym

ogromnie wiele wolnej ręki. Był on raczej zwolennikiem koncepcji Moltkego starszego, który swym dowódcą armji zostawił szerokie marginesy do własnych decyzji, niż Napoleona, który centralizował decyzję we własnym ręku i nawet swoim marszałkom dawał minimum inicjatywy własnej. Dzieje odwrotu z Kijowa były klasycznym przykładem tej moltkowskiej taktyki Marszałka. Smigły-Rydz uważał jednak widocznie, że łatwiej mu pójdzie naśladowanie Napoleona, niż naśladowanie Piłsudskiego.

Kto wie; zagadnienia osobowe mają wpływ wielki. W Polsce było dwóch generałów, których Smigły-Rydz prześcignął w swojej karierze. Gdyby byli powołani na czas do armji, zapewne liczyliby się z ich zdaniem bardziej niż z poglądami swoich wychowanków, od niedawna ozdobionych generalskim wtykiem. Sikorski, postawiony na czele np. armji północnej, miałby wtedy może de facto większy zakres samodzielności? Sosnkowski, postawiony w Poznaniu, może działałby jeszcze skuteczniej niż potem nad Wereszczycą?

Ale marszałek Smigły-Rydz uważał, że Polskę we wrześniu 1939 r. stać w pełni na luksus pozostawienia dwóch najdoświadczalszych generałów polskich w jak najdalszym odwodzie.

NACZELNY WÓDZ OPUSZCZA STOLICĘ

Wojna nieprzygotowana, rozpoczęta z „planem“, który miał wszystkie złe strony kompromisu pomiędzy tem czego wymagało położenie i strategią a tem co dyktowały nastroje, dała od pierwszych dni niewstrzymany ciąg klęsk.

Wojska niemieckie rozpruły front polski na każdym kierunku uderzenia. Niemieckie oddziały zmotoryzowane z Opola znalazły się dn. 6 września o kilkadziesiąt kilometrów od Wisły; wojska polskie, cofające się z Poznania, by zatrzymać się na tejże Wiśle, były oddalone od niej o km 150. Wojska polskie mogły więc dojść do Wisły najwcześniej za trzy dni, wojska niemieckie najpóźniej za sześć godzin.

W tym momencie naczelny wódz opuszcza stolicę w kierunku na wschód.

Nie mamy zamiaru twierdzić że zawsze i wszędzie naczelny wódz ma trwać w stolicy. Tak samo jak wcale nie uważamy by zawsze, w razie klęski, naczelny wódz powinien ginąć. Książę Poniatowski oddał Warszawę Austriakom w r. 1807, Jan Kazimierz oddał ją Szwedom w r. 1655. Przeczytajmy jednak co o tem sądził gen. Norwid-Neugebauer (str. 84—85), a wtedy trudno będzie nie przyznać racji jego słowom krytycznym. Wszystko, istotnie, wymagało właśnie wtedy bliższej obecności naczelnego wodza. I plan akcji, by wojska poznańskie upadły na tyły wojsk zapędzonych nad Wisłę i oderwanych od własnej piechoty kolumn motorowych; i względ na trudności porozumienia się z kwatery główną — i tak już wielkie, tem większe w razie przenosin, które stały się potem wielokrotne. I wreszcie względ na opinię kraju. Brał go pod uwagę marszałek Smigły-Rydz jeszcze parę tygodni temu kiedy porostawiał wojska wzdłuż granic, a nie na jakiejś linii obronnej, aby społeczeństwo nie powiedziało że oto oddaje Kraków, Poznań czy Gdynię, Kosztowało nas to wiele ofiar daremnych. Opinią kraju nie wziął pod uwagę wtedy, gdy chodziło o niego samego. Tym razem ofiary były mniejsze.

Wódz pozostający w mieście frontem, bombardowany, byłby wodzem nieszczytnym, lecz męznym. Dowodów przewidywania, energii, rozumu, decyzji, nie dał. Mógł dać jeszcze jedną rzecz — przykład męstwa. Tego nie dał także. Pozostawił armję walczącą na przedbrożu Warszawy, nad „smutną rzeką Barą“, pod Kutnem tocących bój rozpaczny. Jakies Maciejowice rozwleczone nie na jeden, ale na szereg dni. Jakas Malogosz idąca w setki tysięcy. Tu generałowie i pułkownicy nie poszli śladami swego marszałka. Odpowiedzieli w znacznie mniejszym stopniu za nieprzygotowanie armji, czasem nawet i nieodpowiedzialni, wzięli na siebie chłostę wojny. Żuli może, czego nie czuł Smigły-Rydz, żeowo nieprzygotowanie wojenne zapamiętało nieśczęśliwy naród. Ci odgradzili si od Zaleszczyk. Ginać w szarach kawaryjskich na czołgi niemieckie, popenieli samobójstwo heroiczne, harakiri smutnejsze za to co było. Bo doprawdy, jeśli kto mówi że była to „najkrwawsza dla Niemców bitwa w całej dotychczasowej

wojnie“, nie wolno zapominać o tem, że owa bitwa, tak krwawa dla Niemców, — które w tej wojnie bitew krwawych prawie nie mają, — była dziesięciokrotnie tak krwawa dla Polaków. Żołnierz polski, mając przeciwko sobie samoloty, czołgi, olbrzymią przewagę artyleryjską, piechotę nie wyniszczoną uciążliwymi marszami, walczył nieraz bez takich pomocy, jak kuchnie, lazarety, uzupełnienia amunicji. W tych warunkach trzeba wiele uporu by szukać w tem morzu krwi jakiegoś strategicznego manewru, jakiegoś myśli wodzowskiej. Nie była to bitwa wojenna. Była to narodowa, dobrowolnie przyjęta na siebie, rzeź. Straszliwy Sedan bez kapitulacji. Tragiczne Waterloo bez Napoleona. Maciejowice, od tamtych stórków krwawsze. Biała Góra żołnierza polskiego.

Nieraz bowiem to już on tylko dowodził. Ostatnim dowódcą obrony Sochaczewa nie był żaden generał, żaden oficer. Był nim — pisze gen. Norwid-Neugebauer — jakiś starszy strzelec. A obrona Sochaczewa — pisze plk. Roman Umiański w nr. 57 „Wiadomości Polskich“ była — ogromnie ważnym zadaniem...

WÓDZ OPUSZCZA WALCZĄCE ARMJE

*A gdy zagrzmi nad miastem dział huk,
On rycerzy ginaących porzuci;
Z arki kraju wyłeci jak krak,
Strącając skrzydła, do arki nie wróci...*

Jest to wiersz Słowackiego, mówiący o gen. Krukowieckim, który oddał Warszawę wojskom kniazia Paskiewicza-Erywańskiego we wrześniu (fatalny miesiąc) 1831 r. I jego, i Czartoryskiego, i innych wodzów powstania potraktował polski poeta bardzo surowo. Nikt mu jednakże wtedy nie powiedział, że nie ma prawa o tem mówić, bo to nie jego ale wojskowych sprawa i że poeta na tem się nie zna. Sto lat temu społeczeństwo i emigracja polska były na zbyt wysokim poziomie umysłowym, aby występować z tak niedorzecznymi zarzutami i robić ze świeżej klęski „tabu“, o którym wolno wypowiadać sądy wyłącznie generalom. Jednak, ówczesne oddanie nie było ani w części tem czym przekroczenie granicy rumuńskiej przez naczelnego wodza dn. 17 września 1939 r.

Znowu jest to sprawa, którą omawia gen. Norwid-Neugebauer *wyłączenie* z punktu widzenia wojskowego. I właśnie, z punktu widzenia wojskowego, najwyraźniej *ja polepia*. „Wojsko polskie — pisze swym powściągliwym obyczajem na str. 130 — znalazło się w dziwnej sytuacji. Pozbawione jest naczelnego dowództwa. Skapa w ostatnich czasach orientacja o ogólnej sytuacji ustaje zupełnie. Armje działają wedle otrzymanych poprzednio dyspozycji i pośrednio przekazanych wskazówek z dn. 15 września“.

Ale wojskowe omówienie tej sprawy *nie wyczerpuje jej*, tak samo jak omówienie kampanji wrześniowej dokonane z punktu widzenia czysto wojskowego jest omówieniem zbyt ciętym, zbyt skąpem, omówieniem, któremu brakuje clausewitzowskiej szerokości ujmowania spraw wojennych. W czasach kiedy wojna jest totalna, tzn. nie tylko wojskowa, ale psychiczna, społeczna, gospodarcza i jaka jeszcze — taki sposób zacieniowania omówienia jest anachronizmem tej samej klęski co łanica ulańska, piechota bez czołgu i bagniet w epoce pistoletu automatycznego. Po wsze czasy zresztą zachowanie się naczelnych wodzów było przedmiotem rozważań pozawojskowych.

A istotnie, jak powiada gen. Norwid-Neugebauer, wojsko polskie znalazło się „w dziwnej sytuacji“. Nie tylko zresztą wojsko. Cała Polska, jej armja i jej naród, znalazły się w rzeczy samej w sytuacji, którą chcąc nazwać najlagodniej w świecie, można nazwać co najmniej sytuacją „dziwną“. Takiej sytuacji — wiedzieli o tem każde dziecko polskie — nie miała bowiem Polska w toku tysiąca lat swej historii. Ta Polska pamiętała, że jeden jej król i naczelny wódz poległ na czele swych szyków na polach bałkańskiej Warny, a jego ojciec, w walce na polach Grunwaldu narażał życie. Polska pamiętała męstwo swych królów na polu walki. Pamiętała i klęski, chwały pełne. Pamiętała, że siwołosy Stanisław Żółkiewski, hetman wielki koronny, padł na polach Cecory, że sędziwy Jan Karol Chodkiewicz, hetman wielki litewski, zmarł w obłężonym i prochów pozbawionym Chocimiu, że Stefan Czarniecki brał buławę na łozu śmiercielnym w polu, że syn hetmański zginął pod Zótemi Wodami, a dwaj hetmani dostali się pod Korsunem do

niewoli kozackiej. Prawda, były i Piławce. Ale pozostały po wiek wieków synonimem hańby. Wieczną plamą na szlachcie polskiej pozostanie pamięć owego obozu, z którego uciekano w panice, pozostawiając srebra, dywany cenne i mienie na łasce czerni. Ale nowa szlachta rządząca nową Rzeczpospolitą srebro i dywanów nie zostawiała. Wiozła je z sobą.

Polska miała nie tylko tak dalekie wspomnienia. Jeden z jej naczelnych wodzów podniesiony był półmartwy na polach Maciejowic, z ośmioma ranami od spis kozackich. Inny, ranny parokrotnie, zatonął w nurtach Elstery. Inwalida z nogą drewnianą, generał napoleoński, padł w kościółku na Woli. Traugutt zawiśł na szubienicy. Takie rzeczy nazywał Marszałek Piłsudski „imponderabiliami“. Takich „imponderabilii“ wymagała Polska dn. 17 września 1939 r. Do rozporządzenia naczelnego wodza było jeszcze owego dnia sześć samolotów. Mógł udać się niemi do bohaterskiej Warszawy, mógł przedostać się nad Wereszczycę. (Najwięcej mający władzy, największym ciesząc się ongi posłuchem u narodu, największą dźwigającą odpowiedzialność, był najbardziej winny. Jeśli się mówi o błędach dyplomatycznych Becka czy gospodarczych Kwiatkowskiego, to zapominać nie można, że jeden wyraz woli marszałka Smigłego-Rydz wystarczył do usunięcia ich w ciągu dwudziestu czterech godzin. Mógł. Nie chciał. To znaczy akceptował).

Taka decyzja naczelnego wodza nie byłaby zapewne strategiczna. Ale byłaby polityczna i heroiczna. Gdyby zginął, byłby tragicznym bohaterem szekspirowskiej miary. Gdyby dostał się do niewoli, byłby ekspiwał. Rząd limuzyn walących do Kuminji byłby wtedy przesłonięty tym marszałkowskim gestem. Kondukt zaleszczyki, otwierany Packardem naczelnego wodza, przeszedł, niestety, do historii Polski. A ponieważ sąsiaduje z Warszawą, z Helem, z walką kobiet i dzieci nieletnich, jest tem straszliwym wyrzutem.

Smigły-Rydz przeżył swą rolę w historii Polski. Pewno, że w odróżnieniu od tylu krajów, które na tem źle nie wyszły, Polska nie miała szubienic, nie stawiała gilotyn, i w Polsce zawsze wszystko rozlało się — niestety! — po kościach. Jeśli za rok, za dwa, wrócimy do kraju, okrucieństwa sowieckie i niemieckie przesłania nawet i Września. Nie; nie grozi bytemu naczelnemu wodzowi. Ale nawet najgłośniejsze krzanie się, puszczanie plotek, doklekanie legendy przez tych co przy nim robili kariery, niewiele już pomoże! Nato by naród polski mógł wybaczyć Rydzowi, musiałby sam spodeł. A bohaterstwo, jakie nasz naród pokazał podczas tej właśnie wojny, jest dowodem, że na spodeł Polaków jeszcze się nie zanosi.

WNIOSKI I NAUKI

Wydanie książki gen. Norwida-Neugebauera, choć książka ta ujmując temat tak zawodowo, tak wąsko, choć jest ogromnie powściągliwa w swych sądach i krytykach — jest zjawiskiem bardzo szczęśliwym.

Mylą się bowiem ci co sądzą że uda się stłumić w opinii publicznej wszelkie rozmyślanie na temat Września, albo też że uda się to przedstawić jako wzór postępowania na przyszłość. Nie można zapobiec aby ludzie nie myśleli i nie mówili o Wrześniu. I rozumny człowiek będzie wolał, aby dyskusja o tem toczyła się w pełnym świetle dziennem, na przewiewie odmiennych zdań, wypowiedzianych z argumentacją i umiarem, niż w tajni zakamarków, w niezdrowym odorze plotek i bają. Lepiej o tem pisać otwarcie.

Jeśli chodzi o ocenę Września, prawdopodobnie najtrafniejszą formułą byłaby następująca: naród zdał egzamin ze swego bohaterstwa jak najwspanialej; rządzący ze swych zdolności państwowych zdali fatalnie.

Albowiem, jeśli podnosimy pluse kampanji wrześniowej, mówimy zawsze o heroizmie żołnierza czy oficera polskiego, o bezprzykładnym męstwie kobiet i dzieci, o harcach broniących Katowice kiedy już armji nie było, o kosynierach Gdyni, o ludziach warszawskim. To wszystko dał naród. Konkretnie, dała to polska rodzina, polska matka, polska szkoła powszechna i polska tradycja. Państwo i armja otrzymywały od narodu obywatela i rekruta, czy oficera rezerwy, wychowanego w idei czynnego patriotyzmu, a nie pacyzizmu, jak np. we Francji. Jeśli ten żołnierz potem ginął heroicznie, a nie uciekał, było to zasługą narodu.

Gorzej zdaly egzamin agendy polskiego państwa. Przedewszystkiem ci co mieli przygotować wojnę. Nie umiano u nas żołnierza odpowiednio uzbroić; nie umiano korzystać z lekcji sąsiadów, z przykładu wojen i kampanji lat ostatnich; nie umiano przedstawiać naszej gospodarki na potrzeby zbrojeniowe; lekceważono zdobycze techniczne i ich rolę w wojnie; nie było koncepcji wojennej; nie było planu; nie było informacji o planach sąsiadów, jak chociażby Rosji. Nasz wywiad, mimo zřejnej reklamy jaką się zawsze umiał otaczać, znacznie mniej inteligentnie pracował poza granicami państwa, niż w intrygach wewnętrznych polskich, tak go niestety absorbujących. Otóż tych olbrzymich błędów, popełnionych przez rządzących, nie wolno bronić heroizmem narodu. Jeśli w obronie Warszawy ginęły kobiety, a za obronę Katowic rozstrzelano dzieci polskie, to zaslanianie ich heroizmem owego raidu limuzyn na Zaleszczyki byłoby doprawdy świętokradztwem. Jakże to więc? Ich śmierć,

która nastąpiła właśnie z *winy* nieprzygotowania tamtych, miałyby jeszcze na dodatek bronić honoru tych co mogli wszystko, nie zrobili nic i uciekli? Czy to jednak jest zupełnie w porządku?

Chyba nie. Heroizm kobiet i dzieci, ludności cywilnej i ochotników, nie może służyć za parawan najhaniebniejszym stronom naszej historii. Było jedno i było drugie. To co naród dał rządzącym, stało na wyznach bohaterów Plutarcha. To co rządzący zrobili z tem co dał naród, osiągnęło dno upadku historii Polski.

Upadek dawnej Polski w XVIII w. był kompromitujący jeszcze bardziej dla narodu, niż dla państwa. Ówczesny rozkład państwa był skutkiem rozkładu narodu, jego spodenia w jurgielach, jego ciemnoty, jego niechęci do walki. Kościuszkę, zwolennicy trzeciego maja, znajdowali się w znacznej mniejszości. Państwo musiało upaść skoro jego ludzkie podstawy były przegrane.

Upadek Polski w w. XX był kompromitujący nie dla narodu, ale dla rządzących. To rządzący nie umieli wyzyskać tego co tak ofiarnie niósł obywatel, ilekroć powiedziano mu że wolność tego wymaga. To rządzący odsunęli tego obywatela od głosu. Oni zmarnowali jego heroizm. Pod jarzmo popadł nie naród przegrany, ale zdrowy jak mało który w Europie. I to właśnie było tragedią Września.

WNIOSKI KONKRETNE

Na Wrześnie należy patrzeć jak na wielką klęskę historii.

Czegóż ona nas uczy?

Uczy nas tego że nie wystarczy heroizm narodu. Konieczne jest dobre operowanie tym heroizmem przez państwo. Uczy nas że państwo nie kontrolowane przez naród nie wychodzi na tem dobre. Uczy nas że można najofiarniej żyć na armję, ale że to nie wystarczy. Trzeba by obywatel badał jak armja zużytkowuje owe nakłady, czy buduje za nie armaty, czy yacht-kluby augustowskie.

A wreszcie uczy jednej jeszcze rzeczy. Jak fatalne są rządy wojskowe. Jak złym systemem jest wydobywanie z kadr oficerskich premjerów, ministrów, dyrektorów i starostów. Fatalnym dla kraju i dla armji. Anachronizmem, który jest obcy i państwom demokratycznym, i ustrojom totalnym, a który pojawia się chyba tylko w tworach półtotalnych, czy ściślej mówiąc, policyjnych. Jest to schorzenie polityczne. Ciężki, niebezpieczny ropień. Tem niebezpieczniejszy, że trudny potem do usunięcia.

Armja może wynieść z tej srogiej lekcji dziesięć bardzo wiele korzyści. Może ocenić w pełni czym jest zastosowanie nowoczesnej techniki, nauki, fachowości, do wojny i do wojska. Może program wyszkolenia w armji oczyścić z zabytków zszewicznych. Może wyszkolić żołnierza piechoty raczej do kroczenia wódz z czołgiem, niż maszerowania paradnym krokiem na defiladzie. Może z tego żołnierza uczynić kierowcę samochodu, i radiotechnika, i spadochroniarza, obznajmionego go z obsługą czołgu i miotacza ognia. Może wykształcenie oficerskie wesprzeć dyplomem inżynierskim z tej czy owej dziedziny. Może wyciągnąć konsekwencje z tego, że jeden żołnierz w lotnictwie ma się dzisiaj w stosunku do jednego żołnierza w piechocie, jako wartość wojenna, jak 100 do 1. I położyć cały nacisk nie na kawalerję, która z całym swym heroizmem tyle nas kosztowała, a tak mało nam dała, nie na ulubioną piechotę, ale na bronie motorowe, pancerne, lotnicze. Już teraz. Właśnie teraz. Oto jak armja może skorzystać z lekcji Września.

Może z niej również i nie skorzystać. W Polsce niejedna nauka poszła już w las! Możemy dalej lubować się w koniku, w defiladzie, w mustrze. Możemy dalej cierpieć na przerosły sztabów. Hodować olbrzymie brzuszyśka kosztem młodych mięśni. Możemy dalej uważać to co było za ideał, do którego trzeba wrócić jak najspieszniej. Dalej patrzeć z pogardą na czołg, na samolot, na radiowy „druk“, i nie chcieć nie wiedzieć o nowych broniach. Wszystko oprócz na dyscyplinie, możliwie odchrupowej i bezmyślnej. Możliwie mechanicznej.

Niestety, nie wszystkie mózgi są zdolne do tego, by brać naukę z doświadczeń! Ale są jeszcze pozatem ludzie młodzi, i ludzie którzy przemysłili Września. Ci właśnie mają wtedy obowiązek przeciwstawiać tamtemu konserwatyzmowi jednolitą postawę. Choćby ich rola była nie wiedzieć jak mała. Należy w naszej opinii publicznej — a tą jest każdy Polak — szerzyć właściwy pogląd na przyczyny klęski wrześniowej, domagać się w każdej dostępnej formie unowocześnienia armji, zwalczać w każdy możliwy sposób — krytyką, polemiką, ośmieszaniem, dyskusją — wszystko co służy kontynuowaniu starych metod, starych wad, starych obyczajów i co może poprowadzić Polskę tylko do nowej klęski.

Zadanie takie spoczywa dzisiaj na każdym Polaku. Niech pamięta on, że jest to walka o przyszłość Polski, że za nim stoi cały Kraj który mówić nie może i cierpi. Ze za nim stoją ci wszyscy, którzy we wrześniu 1939 r. dali swą krew tak ofiarnie i których zgon bohaterów mógłby być wojskowo wykorzystany o ileż lepiej.

Myśl, mów, czyń.

Miej odwagę swego zdania.

Inaczej nawet ta klęska narodowa nie ocuci narodu, i nasze dzieci za lat dwadzieścia ten sam los spotka.

KSAWERY PRUSZYŃSKI.

HENRYK SIENKIEWICZ

P O T O P

dwa pierwsze tony po 4/6 (w opr.)

do nabycia:

M. I. KOLIN (Publishers), LTD.,

9, NEW OXFORD STREET, LONDON, W.C.1; 28, KING EDWARD STREET, PERTH

¹⁾ Por. „Przed Wrześniem“ w nr. 60 „Wiadomości Polskich“.

²⁾ Mówię: „czynniki wojskowe, albowiem jest rzeczą powszechnie znaną że marszałek Smigły-Rydz był człowiekiem mało wybitnym, iż faktycznie poprzez niego rozdzielano i decydowało jego najbliższe otoczenie wojskowe, samo zresztą przeciętne i poddające się sugestjom innych. Nie interesuje się w tej pracy, kto i w jakiej mierze oraz w jakich dziedzinach wpływał na marszałka Smigłego-Rydz, a to inne zagadnienie. Ale jak nie leży mi na sercu „oczyszczanie“ b. naczelnego wodza, tak samo nie chciałbym aby moi czytelnicy niemieli, że on i tylko on wszystkim kierował i że sam jeden jest odpowiedzialny.

Monica Gardner

Wydając w r. 1911 swoją pierwszą książkę, a zarazem pierwszą w języku angielskim wyczerpującą monografię Mickiewicza, pisała Monica Gardner: „Dziwnym zarządzeniem losu Mickiewicz, dobrze znany w innych krajach, w Anglii jest postacią nieznaną prawie zupełnie. Wspaniała literatura jego narodu z równie niejasnych jak pożalowania godnych przyczyn jest u nas niedoceniana. Sytuacja nie o wiele poprawiła się na lepsze w ciągu trzydziestu lat, które upłynęły od tej chwili. W ciągu tego trzydziestolecia jednak Monica Gardner sama stworzyła podstawową literaturę przedmiotu.

Jak od początków i do niedawna jeszcze literatura angielska szła do Polski, „przekładem gościniec”, tak do Anglii w krótkim okresie między dwoma powstaniami, kiedy sprawa polska wzbudziła przemijające zainteresowanie twórczością Polaków, literatura nasza docierała częściowo tym samym gościńcem francuskim, częściowo szlakiem dalszym i bardziej określonym, drogą przez Rosję i przekłady rosyjskie. Po tym okresie zaległo milczenie, które przerwała dopiero w r. 1911 Monica Gardner.

Już jej pierwsze wystąpienie, monografia „Adam Mickiewicz, the National Poet of Poland”, nosiła cechy, które w wykuwającej się dopiero historii polsko-angielskich stosunków kulturalnych zapewniają Monice Gardner stanowisko pierwszego systematycznego propagatora i źródłowego komentatora wiedzy o Polsce wśród jej rodaków.

Przy najpełniejszym braku podręczników do nauki języka polskiego dla Anglików, przy ogromnych trudnościach językowych, które w całej pełni odczuć może tylko ten, kto obydwa języki poznał do podstaw i rozumie całą różnicę w ich strukturze i ich duchu, bez wyjązków do Polski, które ułatwiły uczenie się języka w jego domu, bez słownika polsko-angielskiego godnego tej nazwy, Monica Gardner systematyczną i nieustanną pracą wiele lat zdobyła zdumiewającą znajomość i odczuć czytanej polszczyzny. Jej podejście do literatury polskiej było po raz pierwszy podejściem bezpośrednim, z pierwszej ręki.

Rozsypane szesnastki w jej monografiach przekłady fragmentów poezji polskiej były, jak sama stała zaznaczała w przedmowie, dokonywane wprost z polskiego, i jakkolwiek dokonywane przez, zwróciły uwagę krytyki angielskiej, która przyznawała im „wielkie piękno”. Istniejące dawne przekłady nie zadowalały jej wybrednego poczucia stylu i sprawiedliwości artystycznej, tłumaczyła więc całe ustępy ponownie, osiągając niekiedy zdumiewające efekty zbliżenia rytmu prozy angielskiej do kadencji wiersza polskiego.

Zgłębianie polszczyzny, obok wrodzonej skrupulatnej sumienności autorki, umożliwiło drugi pionierski, a dla nas nie mniej ważny, rys jej pracy: po raz pierwszy w dziełach angielskich o literaturze czy historii polskiej pojawiła się i została użyta bibliografia polska. Po raz pierwszy książka angielska mówiła Anglikom, że Polska ma nie tylko własną wielką literaturę, ale literaturę o tej literaturze; po raz pierwszy przemawiała im w formie notatki dziennikarskiej o obecnej ciękawości, ale jako źródło studium w szacie wykładowego języka. Wartość tego prostego, zdawałoby się, faktu dla naszej pozycji kulturalnej w świecie angielskim oeni znowu tylko ten, komu doświadczenie wielu lat odjęło ostatnie złudzenia co do granic ignorancji angielskiej w sprawach polskich.

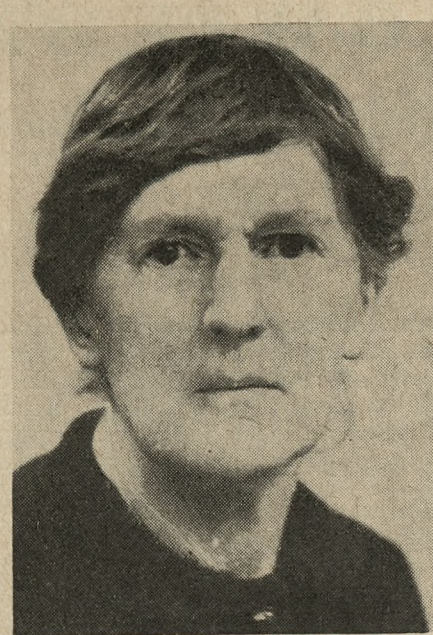
Po „Mickiewiczu” nastąpiły: „Poland, a Study in National Idealism” (1915), piękna monografia Krasieńskiego (1919), „Kościusko” (1920), opisowa książeczka dla młodzieży „Poland” w serii „Peeps at Many Lands” (1917 i 1926), „Stories from Polish History” (1928), monografia Sienkiewicza (1926), „Królawa Jadwiga” (1934). Wydała dla „Everyman's” zbiorowy przekład nowel Sienkiewicza. Dla dzieci przekazała „Kłopoty... góralskiego skrzaka” Kossak-Szczuickiej. Niewydane, o ile mogę stwierdzić, są jej przekłady „Na krasiach lasów” Sieroszewskiego, i „Pożogi” Kossak-Szczuickiej. Od lat pracowała nad monografią Słowackiego, w wielkiej części już napisaną. Wypada dodać, że poza cenną książką Juliana Krzyżanowskiego „Polish Romantic Literature”, a zatem książką spod pióra polskiego, studia Moniki Gardner z zakresu literatury polskiej pozostają na terenie Anglii do dziś pożyteczną jedyną.

Zainteresowanie Moniki Gardner sprawami polskimi datowało się od chwili, kiedy jako młoda dziewczyna przeczytała przypadkowo napotkaną książkę o powstaniu 63-go roku. W duszy Angielki, wychowanej w atmosferze niezachwianej, niewzruszalnej „security” czy wiktoriańskiej, w zamkniętym kręgu konwenansów, drżał plomenny idealizm, do którego przemówił tak odważnie, burzliwe i tragiczne dzieło narodu, mianem, burzliwe i tragiczne dzieło narodu, co razporaz zrywał się do rozpalającej walki o wolność. W środowisku wybitnie intelektualnym, o nastawieniu katolickim i związkach międzynarodowych, w jakim upływało jej życie, w cieple oddanej przyjaźni pokrewnego jej duchem ukochanego brata prof. Edmunda Gardnera, największego w Anglii italyjanisty, idealizm ten dojrzał, umocnił się i znalazł twórczy wyraz.

Nastroj gorącego zrozumienia i sympatii tak dla osoby naszych wieszczów indywidualnie jak dla polskich ideałów narodowych wogóle, który przenika wszystkie prace Moniki Gardner, opierał się na przekonaniu, że ideały te i ponoszone dla nich cierpienia wypływają z najszlachetniejszych dążeń i poczynań ducha ludzkiego. Jak stwierdza w przedmowie do „Krasieńskiego”, pragnęła „zwrócić uwagę Anglików na twórczość poetki i typ myślenia, które z jednej strony mają charakter nie tylko narodowy, lecz i ogólnoludzki, z drugiej wielkie znaczenie duchowe dla jednostki”. Każdy Polak był dla niej in principio patriotą, a przemijające spory czy różnice régime'u nie przesłoniły nigdy — Polski.

Dla raz powziętej sprawy pozostała — po angielsku — wierna do końca, poświęcając jej ofiarny wysiłek całego życia, i w jasno skryształizowanej świadomości swego tak niewdzięcznego zadania, walcząc z rozlicznymi przeszkodami. Prawdę po angielsku także, apelowała najpierw do serca, potem do rozumu. „Jeżeli książkę tę, „Adam Mickiewicz” powiedzie się wzbudzić w jakimś sercu angielskim zainteresowanie lub sympatię nie tylko dla szczególnie pociągającej postaci poety, o którym pisze, ale również i w większej mierze dla cierpienia zmagających się z ideą wielkiego i bohaterstwa narodu, którego był oddany synem, cel mój zostanie osiągnięty”. Sienkiewicz, znanego tu prawie wyłącznie jako autora „Quo vadis?”, przedstawiała czytelnikom angielskim jako tego, „którego sława przekroczyła granice jego zapomnianego kraju i który stroniłami pełnymi wspaniałego blasku, heroizmu, rzetelności i humoru przypominał światu, że istnieje jeszcze Polska”.

Jak wszystkie studia pionierskie, książki jej były przedewszystkiem informacją. Kultura akademicka autorki dala im zwarta,



MONICA GARDNER

przejrzystą kompozycję i bogaty język literacki, ale dusza Moniki Gardner przesycała je tym ogniem gorącego uczucia i oddanej życzliwości dla Polski, który czyni z nich dla czytelnika angielskiego lekturę głęboko przejmującą i żywą, mimo odległości tematów.

Bez krzty przesady stwierdzić trzeba, że Monica Gardner zginęła dla Polski. Na ustawienie nalegania rodziny odpowiadała, że Londynu opuścić nie może, tu bowiem skupiają się wszelkie jej „polskie zainteresowania”. Osierocona i dotknięta do głębi śmiercią Edmunda Gardnera w r. 1935, znalazła ukojenie i nowy cel życia w możliwościach dalszej pracy dla Polski, jakie przed nią, która była dotąd głosem wołającego na puszczy, otwierał ostatni zwrot wypadków dziejowych i zbiorowe zbliżenie polsko-angielskie.

Nowy rozbiór i nowa tragedia Polski wstrząsnęły nią do głębi i każda wiadomość o prześladowaniach wywoływała palące pytanie: co ja teraz najlepiej mogę zrobić dla Polski. Zdecydowała ostatecznie przełożyć na angielski historię Polski prof. Haleckiego (z francuskiego), by zapewnić to rozpaczliwą luką, jaką jest brak poważnej książki z tej dziedziny w języku angielskim. Pracowała nad tym przekładem bezustannie przez szereg ostatnich miesięcy. „Kiedy mi samoloty niemieckie zaczynały huczeć nad głową, zabieram się do pracy nad przekładem historii Polski — to jest moja forma wojny z Hitlerem”. Przekład ten zdołała wykończyć i prawie w całości odesłać do wydawcy.

Odwaga, stanowczość, bezwzględna uczciwość w formułowaniu sądów, wrażliwość odczuć sprawiedliwości, niezachwiana lojalność dla raz powziętej sprawy, bezgraniczna skromność wobec własnej pracy, brak wszelkiego egoizmu, zrozumienie dla innych, niezmordowana pracowitość — całe życie dzieliła między prowadzenie domu a pracę literacką — oto cechy charakteru tego rzadkiego człowieka i chyba największego, bojowego przyjaciela, jakiego Polska miała w Anglii. Jak prostowała nasze ścieżki, iu nam pozyskała przyjaciół, jeśli nie przyjaciół, zwala, szcza w kołach katolickich i kołach młodzieży, z latremi stykała się stale przez swoich siostrzeńców, oeniła dziś niepodobna.

W pamięci dziesiątków Polaków pozostanie jako gościnna pani, której dom, przez otwartości dla nas zawsze otwarty, był zarazem dla Polaków wykładnikiem najlepszych tradycjonalnych cech kultury angielskiej. Drobnie dłonie, które przy planującym kominku, wśród ścian zastawionych szafami z cenną polską biblioteką, wśród pięknych świeżych angielskich kwiatów w starych wazonach, podawały nam filiżanki herbaty drzącym nienal, wiktoriańskim ruchem, zmieniały się w dwie twarde ręce na kierownicę samochodu, który prowadziła z zimną krwią i pewnością zawodowego kierowcy, po wąskich angielskich drogach. Był jednak jeszcze jeden rys charakteru, którego nie godzi się pominąć. To jej kapitały zmysł humoru. W domu tej starszej pani nie zagosiła plotka, nie padło o nikim że słowo. Ale było wiele rzeczy, które ją bawiły, żywo, predko, subtelnie, i na które reagowała charakterystycznym angielskim „twinkle”. Jednym z najciekawszych spostrzeżeń porównawczych Moniki Gardner było, że zawsze mogła się śmiać z tych samych rzeczy, co Polacy. W pokrewnym odczuciu humoru do patrywała się ważnego „ogniwa wzajemnego zrozumienia” między swoim narodem a nami.

Odnaczącą ordorem Polonia Restituta, była także członkiem-korespondentem Polskiej Akademii Umiejętności. Wszystkie jej książki są wyczerpane, w przygotowaniu jest drugie wydanie „Kościuski”. Dziś, gdy od nas odeszła, pierwszą rzeczą, którą winniśmy jej i sobie samym, jest jak najszersze udostępnienie jej dzieł przez zbiorowe wydanie.

MARJA PATKANOWSKA.

Nie znam biografii Moniki Gardner, nikt mi nie powiedział, dlaczego — kiedyś — pojechała do Polski, co ją tam zatrzymało na lata i co sprawiło, że polskim sprawom do końca życia służyła.

Poznałam ją kilka miesięcy temu w Londynie przy okazji wspólnej roboty literackiej, rozmawiałam z nią wszystkiego cztery razy. W zeszłym tygodniu miałam odbyć z nią rozmowę piątą i właśnie szukałam w notiesie numeru jej telefonu żeby ustalić godzinę, kiedy ktoś mimochodem wspomni, że ona już nie żyje. Z tego do Moniki Gardner nie należał już telefonować, że z nią mówić nie można.

Z tem nie umiem się pogodzić. Monica Gardner nie umiała — zabito ją. Do śmierci Antoniego Sobańskiego przyczyniła się wojna, ale jednak on umarł inaczej. Między jego robotą, przyjaciółmi, myślami, stanęły tygodnie czy dni, w ciągu których odeszł. Z pewnością ani mógł ani serce nie godziły się na śmierć, ale płuca pracowały na nią. Jedno po drugim opadały zajęcia, gesty, uczucia... Powoli zamykał się dla świata. Sam przestał do ludzi mówić, sam swój telefon wyłączył...

Monica Gardner, kiedy śmierć na nią spadała, leżała w łóżku tylko po to by przetrwać noc i zebrać siły do dalszej dziennej pracy. W chwili śmierci napewno nie była uboższa o jedno słowo, o jedną energię, o jeden projekt, niż gdyby ta sama chwila miała być drobnią w pełnym czasie życia.

Oczywiście, niema pogo telefonować. Nawet, jeżeli aparat w jej pokoju sterczy pośród rumowisk (ileż to ich widzi się teraz z ulicy, uczepionych tylnie ścian, albo kominka w mieszkaniach, które nie zachowały ani podłogi, ani sufitu, ani też fasady)... Jeżeli nawet ze stacji nie zdążono go jeszcze wy-

łączyć, Monica nie odpowie na dzwonek.

Ale to nie znaczy, że nie można do niej mówić. Przeciwnie: dlatego że tak natychmiast przestajemy mówić do tych, których zabito, śmierć ciągle zachowuje swoją złą potęgę. Ci, których zabito, nie przyjmowali swojej śmierci, niechże żywi nie godzą się z nią tak szybko.

Duża, chuda Angielko w wieku, który jest angielską tajemnicą, — w wieku spowiałych włosów, zreumatyzowanych palców i młodzińskiego spojrzenia, w wieku nabytej mądrości i wiecznego dzieciństwa, — odbądnijmy naszą piątą rozmowę. Ja będę mówiła, Ty będziesz teraz milczała, ale odpowiesz mi kiedyś.

Przychodzę z nowymi rozdziałami książki, którą Pani zechciała tłumaczyć na angielski. W pewnej naszej rozmowie powiedziała Pani:

— *I wonder* dlaczego niektórzy Polacy tak kochali Francję.

„Mnie się zdaje, że więcej możliwości porozumienia było zawsze między Polską a Wielką Brytanią.

Jednak, kiedy niedawno, wróciwszy ze Szkocji, opowiadałam, że zawarto tam wiele małżeństw polsko-szkockich, Pani pokiwiała głową:

— Wiele będzie zawodów, wiele smutku...

Nie zdobyłam się wtenczas na to, by głośno stwierdzić: „...zatem Pani zawiódła się kiedyś i smuciła”, a potem zapytała: „...czemu więc wykreśla Pani w moim tekście wszystko co rzuca cię na polski charakter? dlaczego Pani nie zgadza się mówić Anglikom prawdy o Polakach?”

— Przy tłumaczeniu „Drogi do piekieł” wyrzuciła Pani senkę bankietu wielkorządów na ruinach państwa, usprawiedliwiającej się względami na artym.

— *I like* „Czarny próg” — posłyszałam. — *I love it*, bo to jest jak kurtyna. Czuje się co jest za tem, ta granica ojezyny i szczególności, ta ostateczna miarka... ale tego się nie pokazuje. Nie trzeba pokazywać za wiele.

Przychodzę by wznowić ten temat, teraz można już mówić Pani wszystkie swoje myśli: wydaje mi się, że rozumiałam Pani życie. Jak dalekoś nie odróżniał barw więcej, niż zdola dostrzec normalny wzrok ludzki — Pani dostrzegła na ziemi kolory Bożego Królestwa.

Zgaduję, że miłość do Polski stał się wynikiem, iż te kolory zauważyła Pani po raz pierwszy nad Polską.

Bywa tak. Jeśli otworzy się przed człowiekiem kraj bardzo daleki i obcy, odpada niekiedy rutyna zmysłów — budzimy się w pierwszym tygodniu stworzenia. Niezrozumiałe są słowa ludzi, nieznany obyczaj, niedostępne wnętrza mieszkań i serc — tylko zamiar Stwórcy stoi nad krajem, jak tęcza uroflowata.

Nad rzeczą wsią czy miastem nie widziało się jej, bo i oczu własnej matki się nie widzi pośród patrz z drugiego brzegu kołyski.

— ...dlaczego niektórzy Polacy tak kochali Francję?

Bo znali tylko Francję, nie znali Francuzów.

Angielko z twarzą drewnianej Madonny, Pani znała Polskę. Pani kiedyś wysiadła z zagranicznego pociągu na egzotycznej stacji w literackim kraju. Pani nie umiała rozmawiać z ludźmi, którzy krzyczeli, nie chwylała anegdot i nie znała adresów, Pani tylko smutek i niedość jej, pozwała góry i rzeki rozmawiały z dziejami, rozmawiała z poezją.

Czasem współkolejowy, współpracownicy, dostawcy, lekarze, przechodnie, zaczęli zdradzać swoje prywatne sekrety — i Pani się zawiódła i Pani się smuciła. Pani położyła palec na ustach:

— Cicho. Nie trzeba pokazywać za wiele. Chcę widzieć Polskę, Polacy są mniej ważni. Nie dziwnego, że Pani się boi polsko-szkockich małżeństw.

I jakież to oczywiste, że nikt inny nie mógł Pani zabić tylko lotnik niemieckiego Führera! Wiedziałam film hitlerowski, nakręcony podczas podboju Polski... Niemiecki żołnierz zrywa ze szlupa przydrożnego tarcz z orłem białym, zgina ją i rzuca do rowu. Niebawem spomiedzy wagonów na jakimś bocznym torze wyłania się Hitler. W dali za rzeką majaczy sylweta okaleczanej Warszawy. Wyryw, zrujnowany most, szyny, pale, są na pierwszym planie. Wie się, że opadał w rowie leży ten ptak, który przez tysiąc lat był Polską i będzie nią do sądnego dnia. Hitler, jak legawy pies, ociągając się, powoli odprytynuje nogi od błota, brnie przed siebie, odrzucony w Warszawie. Na jego twarzy leży szczęście. Bo dla niego Polski już nie ma. Są tylko Polacy. Spragnieni ziemniaków, herbaty, kłótni, lubiący wstawać późno, hałasować po nocy — bezbroni, śmiertelni Polacy.

Nie widziałam żadnego filmu z Compiègne. Jestem jednak pewna, że kiedy Hitler, siedząc tam w historycznym wagonie, powiedział, że Pétain przysięgał zanieść broń, na jego twarzy znowu pojawił się ten sam uśmiech — ze wszystkich najbrudniejszych, najbardziej krzywy i straszny. Bo dla niego nie było już wtedy Francji — ani galijskiego koguta, ani lilij burbońskich, ani Marjanny, przesłoniętej sztandarem. Byli tylko lasi na miłość i na wino, bezbroni, śmiertelni Francuzi.

Pani się mnie pytała, dlaczego myśmy Francję kochali. A ja Panią w duchu pytałam, dlaczego pani kocha Polskę?

Ja odpowiedziałam zaraz: nawet ci spośród nas, którzy znali Francuzów, wierzyli że Francja jest od nich silniejsza.

Pani — zabita przyjaciółko — nie teraz nie odpowie. Któż wszakże lepiej od Ciebie odczuł, że Polska silniejsza jest od Polaków i że to nie my sami straciłiśmy nasze godło do rowu, jak Francuzi straciłi Marjanę.

Zanim przestaniesz mnie słuchać, poruszę jeszcze raz kwestię „kurtyny”.

Wielbię Ciebie za to, że znać chciałaś i obcy tłumaczyć chciałaś Polskę. Nie wszyscy Polacy chcieli Polskę znać. Nie wszyscy ją znają. Żeby ją widzieć w mro-wisku przeciwników politycznych, krewnych i romansów — trzeba by wraziłiśmy w wieczność!

Jednak obraz narodu, powstały z refleksów wieczności, bywa przez wzdów noszony przed masą dla osłonięcia narodowych zbrodni.

Hitler ogłosił bogiem naród niemiecki. Hitler mówi „Deutschland” stojąc na barczności przed germańskim słowem, przed marmur krwawym jak lampa Wallhalla. A za jego plecami ludzie niemieccy plawią się w ekskrementach swoich żąd.

Moniko, zakochana w Polsce, dyskretna na temat Polaków, dawaj znaki ze swojego nowego mieszkania, kiedy na ziemi artyści spuszczają powini kurtynę.

Twoje tłumaczenie mojej książki jest jedną więcej garścią popiołu na ciężkiej polskiej drodze.

Ale mądrość Twojego serca nie dała się spalić i niech mnie ona oświeci.

MARJA KUNCIEWICZOWA.

O rysunkach Feliksa Topolskiego

Chyba nie będzie przesadnie twierdzenie, że żaden malarz polski nie cieszył się takim powodzeniem w świecie anglosaskim, jak Feliks Topolski. Jego karykatury, portrety, sceny rodzajowe i wojskowe, dzięki reprodukcji w poczytnych pismach uczyniły Topolskiego jednym z najpopularniejszych artystów współczesnego świata angielskiego, a rysunki do dzieł Shawa zjednały mu głośne imię jako ilustratorowi. Naszej sprawie przysługują się Topolski nieraz lepiej niż oficjalne imprezy, które nie mogą dotrzeć do najszerszych warstw.

Wystawa, na której artysta zgromadził blisko setkę swych prac z czasów wojny, pokazała przedewszystkiem Topolskiego jako malarza. Topolski, znany z reprodukcji i rycin w książkach, wydawał się z temperamentu i umiłowania grafikami czy ilustratorami; oglądany na wystawie, ujawnia się przedewszystkiem jako malarz; obrazy jego oglądać trzeba w oryginałach a nie w mechanicznych reprodukcjach zmieniających ich wyraz. Studia wojenne Topolskiego utrwalają widoki Londynu podczas wojny, ruiny po bombardowaniu, ludność w schronach i podczas obrony. Sporo miejsca zajmują tematy polskie: nasza armia w Szkocji, typy naszych żołnierzy, nasi generałowie (doskonale portret gen. Sikorskiego), sceny z życia obozowego. Topolski wystawił również kilka portretów (np. Paderewski w r. 1919 lub Edyta Evans jako królowa Elżbieta). Technicznie obrazy Topolskiego, to rysunki, akwarele i gwasze.

Wysoki poziom techniczny, zręczność i łatwość muszą zadziwić widza. Toteż nie dziwnego, że w kraju, gdzie akwarele i rysunki w myśli dawnej tradycji wysoko się ceni, dzieła Topolskiego zostały pochwałą krytyków i publiczności. Istota powodzenia artysty leży jednak gdzieś indziej.

Już od XVII w. sztuka angielska, architektura, rzeźba, ale przedewszystkiem malarstwo rozwija się wedle własnych zasad, odmiennych od kontynentalnych. Nigdy Anglia nie przeszła przez barok, i wyspy nie odo-biono budowlami o malowniczych formach włoskiej architektury. Katedra św. Pawła jest chłodna i klasyczna, mimo że powstała w okresie, gdy barok świecił na kontynencie największe tryumfy. W Dych, choć uczeń Rubensa, zaszczerpił malarstwu portretowemu w Anglii pewną dostojność i chłodne wyidealizowanie postaci, czemu portret angielski holduje do dziś. W czasie, gdy malarstwo europejskie XIX w., a zwłaszcza francuskie, zmagało się z zagadnieniami rysunku i kolorytu, gdy walczyło o światło i szukało dlań ciagle nowego wyrazu, Anglia wydała klasyczną szkołę prerafaelitów. Gdy przemysł artystyczny na kontynencie chwylał się bezradnie ciagle nowych form, Anglie doskonali i przystosowywali stare, oddawna znane. Stąd wiele przedmiotów angielskich mody czy codziennego użytku cechuje pewne sztywność, zawsze bardzo statyczne, bo konserwatywne, tradycyjne, o ustalonych formach jest smak tego kraju zarówno w rzeczach życia, polityki, jak i sztuki.

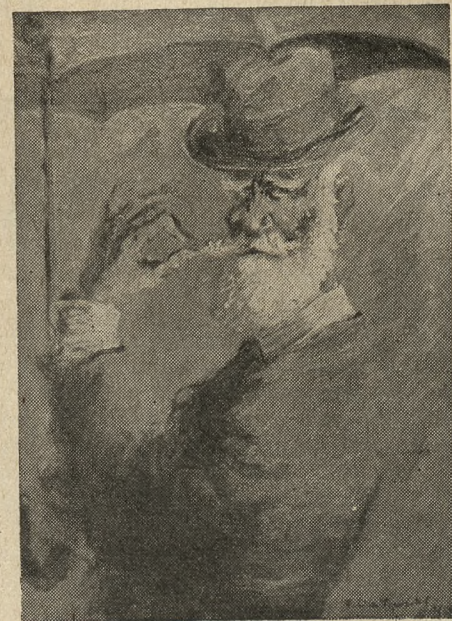
Topolski odstąpił przed Anglikami świat do pewnego stopnia dla nich nowy. Jego malarstwo przypomina chwilań Francuzów, lecz w istocie jest inne. Topolski ma w sobie mniej wyrafowania niż Francuzi, inną niż oni skalę przedstawiania, mniej może nawet dowcipu, a zato więcej sarkazmu i uczucia. Jest to malarstwo bardzo polskie, i do tej szkoły należy wyprawa artysty.

Nie cechują bowiem polskiego malarstwa, tak jak przypuszcza szeroki ogół, ani krase barwy, ani baby w kraciastych chustkach, ani konie po błoniu, ani ulani, ani Huculi i zbójniki, ani pawie pióra i guziki, ani pisaniki i wycinanki. To są akcesoria czysto zewnętrzne, raczej należące do przenysłu artystycznego i ornamentyki, które podniecały wyobraźnię naszych artystów, a jeśli były przez prawdziwie ułetwowane użyte, wydały dzieła trwałe i nawet wielkie (stary Witkiewicz, Stryjeński, Włodzimierz Tetmajer, Skoczylas). Obok tych artystów było jednak w Polsce o wiele więcej takich, co motywy ludowych nie stylizowali zupełnie, co tworzyli zgodnie z prawami ogólnoeuropejskimi, najwyżej temat polski podjmując, a przeciwie należało do polskiego malarstwa, bo forma ich dzieł jest wewnętrznie polska, odmienna od szkół monarchijskich czy paryskich. Różnie te, trudne do uchwycenia, trudne do określenia, bo wogóle w rzeczach sztuki niełatwo uogólniać, stawiały zasady i reguły, segregowały i przegrzeżdzały. Dzieje naszego nowoczesnego malarstwa nie były nadto należyte zbadane, i dobrej jego charakterystyki brakło mimo kilku wartościowych prób”. Stąd, gdy pojawi się jakiś artysta w którym dostrzeżę się cechy polskie (nie folklorystyczne, powtarzam, lecz formalne), stwierdzam to trzeba jaśniej uzasadnić aby nie było tylko próżnia słów.

Woch i Francuz stoja u kolebki malarstwa polskiego w czasach Stanisława Augusta. Niema, rzecz szczególna, tam nie było, i nie wyszukaj go ani p. Frey, ani p. Sappok.

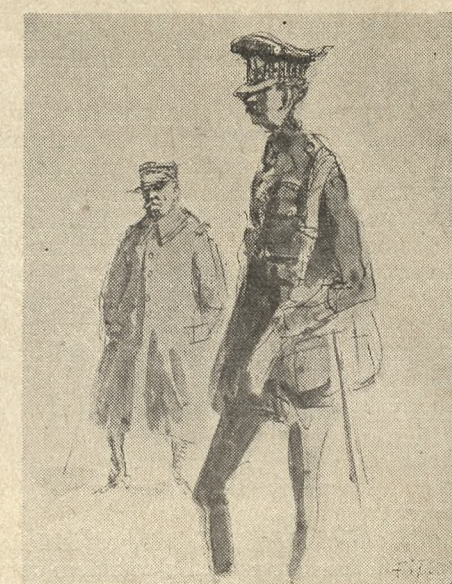
*) Odbiegam od tematu w tem miejscu, bo mój odrywa się w innym kierunku. Stosunek nasz do wielkich naszych mistrzów bywał nieraz niekulturalny, głupek i grzeszny. Ileż to czytało się krytyk, a nawet namiętnie w wiekiśkiej Matejki, co kpin niejednemu młody malarz wypowiedział pod adresem Grotterga, chwilo holdując jakimś modernizmowi. Któryś radził Matejkę drzeć na szmaty, „bo tak dopiero wyjdzie jego potencjałizm artystyczny, a zatraci się największe błęd, że kolorysty nie budował”. Inny nie widział w Grotterze nic, tylko cikiwość staropolską, „gdzieś rytym, — rzezał w kawiarni, — rytą światło, który tylko w rysunku roznasz palcem, a nie cienkiem ołówkiem i gwaszem”. Na rok przed wojną na wystawie Melfiera w Warszawie słyszałem wywody pewnego krytyka, który tego wielkiego artystę oceniał niżej malarza pokojowego, a to dlatego, że nie był jego zdaniem, „malarski”. „Wypalił te stare chałupy Witkiewicza” — radził pewien architekt, który burżuazom stawał pączki betonowe zamiast willi.

Dziś ci sami, co tak bąbali bez sensu jedynie dla smobizmu, widzą z przerażeniem, że słowa ich się spełniły. Arcydziełami naszej sztuki rządzą wrogowie. W Zakopanem, gdzie Witkiewicz stawiał swe poematy z drzewa, wznoszą Niemcy tyrolskie budy. Gdzie na Wawel wahało się wprowadzić „Hold pruski”, Matejki (byli tacy co zarzucałi, że poziomem nie będzie dorównywał), powstaje bawarska „Bierstube”. Spalony Grotter w Zachęcie, wybite witraże Mehoffera po kościołach. Jakże ciężko dotknęła wojna polską sztukę! Kiedyś — przyjdą takie czasy! — jeden strzep Matejki będzie policy artystei podziwiał w nabożnym skupieniu, sorob z witkiewickowskiego domu chowałi będziemy jak najdroższy klejnot, a z odprysków witraża Mehoffera będą historycy rekonstruowali cały miniony prze-pych jego kolorytu. Te ruiny naszej świętości artystycznej, niedoceniane wówczas kiedy żyły, będą ożywały i dawały natchnienie.



Warjacja na temat G.B.S.

ani p. Clasen, choćby nie wiem jak fakty naciągali. Bacciarelli i Norblin, jeden przez króla, drugi przez Czartoryskich wspomniani, pracują nad stworzeniem polskiej sztuki narodowej, której braku. Bacciarelli swemi wielkimi kompozycjami z dzieł wojny Polak dał początek zamilowaniu do histo-



Oficer gwardji szkockiej i generał francuski

rycznego i patetycznego malarstwa, które geniusz Matejki zdźnił później w najwyższe regiony. Był to jeden kierunek, jeden strumień naszej sztuki, który przechodził najrozmaitsze procesy formalne w ciągu XIX w., lecz od Bacciarella poprzez Simmlera, Matejkę do Wyspiańskiego, Mehof-



Oficer szkocki

fera, w patetycznym swym niemiernym, w dramatycznie najbliższy był polskiemu smakowi.

Od Norblina idzie drugi nie mniej interesujący prad. Norblin miał „gust sopliowicki” i on pierwszy nauczył Polaków patrzeć na otaczające ich życie szlachetnie, chłopca, żołnierza, mieszczanina i Żyda. On odkrył krajobraz, on naszym malarstwu rodzajowemu dał ten bogaty, pełen fantazji temperament, który po nim odziedziczyli Orłowski, Michałowski i Julusz Kossak, który sprawił, że nasi impresjonisci spoglądali na świat zawsze inaczej niż ich mistrzowie francuscy. Najśliszej wybuchnął ten prad Norblina zapalony płomien w sztuce Wyczółkowskiego. I on, jak kiedyś Norblin, rysunkiem swoim chciał oddać całą Polskę, i nie było dla niego żadnego niemalarzkiego tematu.

Wszyscy ci malarze polscy, z których wymieniam tylko przykładowo nazwiska, jak Norblin, Orłowski, Michałowski, jak Julusz Kossak i Wyczółkowski, malowali szybko, z wielką łatwością techniczną, nie kończąc nieraz szkiców, odrzucając je z jednego tematu do drugiego, przerzucając się gwałtownie, rzecz można — niemal żarliwie. Francuz-impresjonista bez końca studiował światło, kolory, wypracowywał jeden pejzaż, jeden szczegół. Jedni malowali tylko tancerce, inni tylko światła na Sekwanie. Nie przeczę, że w naszym malarstwie tworzyli również wielu co wyżywiali się wyłącznie czy to w krajobrazie, czy w chłopach, czy w koniach, czy w portretach i t.d. Ale obok nich zawsze kwitła klasa malarstwa rodzajowego, życie chwytająca na gorąco, bardziej rysunkowa i ilustratorska, jakby chciała utrwalic jakiś chwilowy, przejściowy świat, a może ginący świat polski? Bo tak ginący świat Polski przedmiotowej utrwalili nam Norblin, Julusz Kossak i Michałowski — Polskę z połowy XIX w., Andrioli — z końca t.w., a Wyczółkowski — Polskę którą teraz właśnie straciliśmy.

Tych wszystkich artystów cechowała pewna nerwowość twórcza, właściwa polskiej naturze, nieznaną w tym stopniu gdzieś indziej. Ona to dała owym malarzom rozmaitych czasów, różnych szkół i stylów, wspólny język. Światłocienność i u nich wydobyciu tem większej ekspresji, stwarzał efekty barokowe, malownicze, niespokojne. Temperament, żywioł, fantazja, może nawet w połączeniu z pewną lekomyślnością malarzską, krzyżowały się z uczuciem i patosem. W charakter polski zapadł głęboko romizm, który kiedyś repre-

zentował nasz świat szlachecki. Sceny malowane przez owych artystów traktowane były szeroko, jakby odniechcenia. Nie będą w sobie miały nic z twardości niemieckiego malarstwa, nie z wyrafowania Francuzów, nie z angielskiej solidności. Nie wszyscy z tych artystów polskich byli kolorystami. Moze naprawdę tylko Michałowski i Wyczółkowski, ale wszystkich cechował rytym szybki i żywy, ruchliwość i bogactwo formy.

Sądzę, że się nie mylę jeśli do tego kierunku naszego malarstwa zaliczam Topolskiego. Zapewne tu także leży istota jego powodzenia w świecie anglosaskim, dla którego przedstawia się oryginalnie i niezależnie. Anglie nie odnaczała się wyobraźnią, i jeśli ktoś jak Topolski spostrzega wszystko, interpretuje, podchwytuje, stanowi dla nich niewątpliwą nowość. A że zmysł humoru ceni się na tej wyspie wysoko, że obrazy Topolskiego mają czasami coś z karykatury i sarkastycznego spojrzenia na świat, więc publiczność angielska musiała pozyskać.

Nie omawiam szczegółowo wystawy. W wielkim uproszczeniu napisałem kilka myśli które ona nasuwa. Umieszczenie Topolskiego w polskiej szkole malarskiej nie znaczy także, by mówić o jakichś wpływach na tego artystę. Sztuka jego niejednokrotnie przypomina rozmaitych wielkich mistrzów; można to nazwać wpływami, które zresztą nie szkoda nikomu, bo nie są ani mianierą ani marwem naśladowczym. Niechby sobie i były, jeśli tak jak u Topolskiego wyjął rezultat.

Wśród czasów, w których żyjemy, w zamęcie wojny pojawił się na obcej ziemi malarz reprezentujący z powodzeniem naszą kulturę artystyczną. Zapewne jeszcze niejedną nie spodziankę sprawi nam Topolski, gdy kiedyś wróciwszy do kraju, przetruci się do innych tematów. Będzie wówczas utrwał świat Polski nowej, powojennej.

KAROL ESTREICHER.

Stanowisko Topolskiego jest zupełnie wyjątkowe. Artysta w ciągu lat paru zdobył sobie w Anglii imię znakomite, zyskał uznanie wśród sfer oficjalnych i jednocześnie stał się rywnikiem o największej popularności wśród szerokich mas ludowych. To co spotyka Topolskiego nie jest właściwie uznaniem. Jest to pewien rodzaj egzaltacji. Topolski jest dla Anglików wartością bezsporną. Jego rozmowa w towarzystwie angielskim wchodziłi przypadkiem na teren drażliwy, zaczyna mówić o Topolskim. Atmosfera się rozpręża: popesny entuzjazm Rosji sowieckiej i konserwatywny liberal prędoigają się nawzajem w komplementach dla polskiego artysty, stary kwakier cieszy się, że nawigatł porozumienie z młoda anarchista, i wszyscy są bardzo zadowoleni, bo Anglie, jak powietrza, potrzebują do życia punktów zgodnych i wspólnej afirmacji, dającej wytchnienie.

Miała Anglia znakomitych rysowników, ale bodaj od czasów Phiza żaden nie osiągnął powodzenia tak powszechnego. A przecież Topolski nie jest artystą łatwym, nie schlebia gustom konwencjonalnym. Najtrudniejsza publiczność — t. zn. koledy, artyści i ostryżni snobi

ROZMAITOŚCI

„Co to jest kielbasa?”

To napozór proste pytanie było kilka dni temu przedmiotem rozważań jednego z sejdów angielskich.

Wielkość przybyszów z kontynentu niewątpliwie dawno już doszła do wniosku, że kielbasa angielska zawiera wszystko z wyjątkiem mięsa. Najwidoczniej jednak jesteśmy w błędzie. Kielbasa, nawet w Anglii musi zawierać choćby pewien, drobny procent mięsa, inaczej nie jest kielbasą. Pewien rzeźnik z hrabstwa Essex został skazany na grzywnę za sprzedaż kielbasy, która nie miała nic wspólnego z mięsem.

Hitler przyznał dożywotnie pensję 350 zdrajcom bułgarskim, którzy dopomogli mu do opanowania Sofii bez walki.

Norweski statek pasażerski natrafił na minę i zaczął tonąć. Kapitan wydał sakramentalny rozkaz: „Kobiety i dzieci pierwsze do łodzi”.

Na pokładzie był oddział żołnierzy niemieckich. Dowódca ich podszedł do kapitana i powiedział: „Z rozkazu Führera żołnierze niemieccy muszą mieć pierwszeństwo przy wsiadaniu do łodzi”.

Kapitan zignorował Niemca i powtórzył komendę. Hitlerowie wydobyli rewolwer i położyli Norwega trupem.

Gdy wszyscy żołnierze niemieccy usadowili się bezpiecznie w łodziach, okazało się że jest jeszcze miejsce dla ośmiu kobiet. Po ich zabranu żołnierze odpłyneli, zostawiając resztę pasażerów i załogę na łase losu.

Churchill, składając hołd zwycięskim lotnikom, którzy odparli ataki „Luftwaffe”, wypowiedział głośno już słowa: „Nigdy jeszcze tak wielu nie zawiązywało tak dużo tak niebezpiecznej garstki”.

Ulubiona zabawa jest obecnie parafrazowanie tego powiedzenia. Oto kilka przykładów:

Pétain: „Nigdy jeszcze tak wielu nie straciło tak dużo by zyskać tak mało”.

Hitler: „Nigdy jeszcze tak mała garstka nie narzucała tak wielu ludziom tak ogromnych cierpień”.

Stalin: „Nigdy jeszcze nie skradziono tak wiele tak niebezpiecznej garstki”.

Mussolini: „Nigdy jeszcze tak mała garstka nie uciekała przed tak małą garstką”.

Król Jerzy grecki: „Nigdy jeszcze tak mała garstka nie sięgała tak wielu”.

Franco: „Nigdy jeszcze tak wielu nie jadło tak mało”.



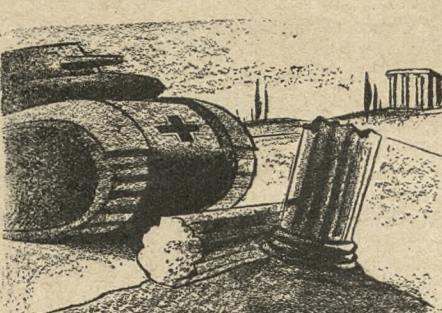
(„New York Times”)

WYPCHANY CZY PRAWDZIWY?



(„News Chronicle”)

SIEWCA



(„Time and Tide”)

„Jest może niezłomnym prawem historii, że każdy naród musi kiedyś doświadczyć tego losu, który przez niego gotował innym narodom” (rozgłoszenia niemieckie).

Niegodny zazdrości jest los państw neutralnych. Jeden z dzienników szwajcarskich zamieścił artykuł na temat wojny na Bałkanach, i oto jaka reprimenda spotkała go ze strony radia rzymskiego: „Bezcelność autora dochodzi do szczytu kiedy napomka on o możliwości włoskiej klęski w Albanii, gdyby wojska niemieckie nie przyszły Mussoliniemu z pomocą”.

Proszę zgadnąć, z jakiego wydawnictwa pochodzi poniższy ustęp: „Bierzemy po funcie obranych ziemniaków, kalfajoru i marchewki, jeśli możliwe trzy do czterech młodych cebulek, kawową lyżkę wyciągu z jarzyn i słodową lyżkę maki. Gotujemy wszystkie składniki razem przez dziesięć minut, dolewając tyle wody aby pokryła jarzynę. Od czasu do czasu mieszamy aby zapobiec zlepianiu się. Po wystudzeniu kładziemy do ognioodpornej miski, posypujemy posiekany koprem i pokrywamy cienką warstwą ciasta z maki i ziemniaków. Pieczemy w uniarkowaniu gorącym piecu aż ciasto się zarumieni”.

Jest to przepis na sławną już „Woolton Pie”, podany w Izbie Gmin przez mjr. Lloyd George’a i wydrukowany w „Hansardzie”, który zamieszcza pełne sprawozdania parlamentarne.

Nielatwo jest znaleźć na ulicy 47 banknotów funtowych. Zdarzyło się to jednemu z przechodniów w Londynie. Znalazła zaniósł je na policję, która przekazała całą sumę właścicielowi. Ten zaś uznał za właściwe zaoferować część pensów znaleźnego.

Prasa angielska uważa, że powinno się to było zdarzyć w Szkocji.

Dość Hitlerowski studja w Norwegii uległy znacznemu uproszczeniu. Każdy młodzieniec, który wstępuje do organizowanego przez Quislinga pułku „Nordland”, otrzymuje świadectwo ukończenia szkoły wyższej.

Podczas wielkiego nalotu śródomiasta na Londyn bomba niemiecka zabiła lorda Stampa w jego podziemnym domu „Shortlands”. Siedemnaście lat temu lord Stamp, zachwycony swym domkiem, pisał do przyjaciela: „Tylko dynamit potrafiłby mnie wypędzić z Shortland”.

ALFA.

LIST DO KSAWIEREGO PRUSZYŃSKIEGO!

Uwagi godny Panie!

Wiosenną ofensywę rozpoczął Pan moim artykułem¹⁾, który — przynajmniej — jest na prawdę artykułem walącym. A jest o co walczyć.

Szkorbut myśli zrobił u nas już duże postępy. „Scharnienie kulturalne” rośnie. Głodni jesteśmy prawdziwej kultury, głodni jesteśmy tego wszystkiego o co Pan się dla nas upomina.

Nie mogę zrozumieć, dlaczego na tyle osób troszczących się o naszą oświatę, na tyle pieniędzy wydawanych na ten cel, my sami musimy robić składki na świetlice (ja nie dałem), kupować gazety i sami się oświecać²⁾. Bo proszę Pana. Nasz oddział stoi gdzieś w mieście od kilku miesięcy. Jest p. porucznik oświatowy, jego pomocnik, świetliczarki (podobno dobrze płatne), chodzące w ładnych mundurach, a my nie mamy co robić, nie mamy co czytać.

Są dwie kasy naświetlone ze śmietnikami starych tygodników — i to wszystko. Świećlice kompanijne, nawet pięknie udekorowane, są pozbawione ducha, nie ośnią, powszednie. Dużo hoteli stoi pustkami. Wynaję kilka dużych sal, mniejszą uwagę zwracać na dekorację, a więcej wysiłków poświęcić na treść, na istotę świetlic³⁾. Tak myślałem, bo coż ja strzelec mogę zrobić? Tak jest!

Tak jest! To mogę mówić!

Świećliczarki są bezrobotne, a my bez książek.

Tyle dobrych książek (sądzę z tytułów i nazwisk autorów) wydano w Anglii, lecz cóż, drogie, dla nas przeważnie niedostępne.

Ukazała się „Historia Polski” Mackiewicz, ukazała się „Kampania wrześniowa” gen. Neugebauera, uka...

Ukazała mi się na wystawie, przez szybę. W czasie mego pobytu w Anglii przeczytałem parę książek, z tego dwie ukradłem pewnemu oficerowi (ale oddałem, bo zbliża się spowiedź wielkanocna).

W pewnym miejscu usprawiedliwia się Pan z przykrych rzeczy napisanych pod adresem instancji wojskowo-oświatowych.

Nie spotkałem ani jednego przykrego słowa. Delikatne, bardzo delikatne zwrócenie uwagi na nierobstwo.

My tutaj nazywamy to dosadnie.

Gorszym się i oburzam na nierzetelnie wykonywanie obowiązków przez członków

czynników nie-nie-dajnych.

Radujemy się, bijemy brawo, czytając takie artykuły jak ostatni Pana, o którym mowa, jak „Bilans inteligencji” Zahorskiej⁴⁾. Jasne plany na kulturalnym „black-out”⁵⁾. Niech żyją „Wiadomości Polskie”!!!

Wierzę, że nie dacie nam sparszyć do reszty.

Bardzo serdecznie Panu dziękuję za silne uderzenie po siedzących zapadłych w fotelach kawiarnianych.

Walc dalej, a mocno!!

Czołom.

G. Z. H.

¹⁾ „Półroczny blackout” w nr. 56 „Wiadomości Polskich”.

²⁾ W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

³⁾ Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

⁴⁾ W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

⁵⁾ „Półroczny blackout” w nr. 56 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

W pewnej kompanii pewien szofer (z zawodu adwokat) urządził co tydzień wieczory literackie. Świećlica jest pełna. Kompania stoi na ważnym odcinku.

Myślę o świetlicy dla całego oddziału.

W nr. 55 „Wiadomości Polskich”.

SKŁADY APTECZNE • DROGERJE

PROSIMY wszystkich Polaków przebywających w Anglii aby zwracali się z zaufaniem oświadczenie lub drogą pocztową z receptami i z wszelkimi zapotrzebowaniami farmaceutycznymi lub medycznymi do składów aptecznych:

John Bell & Croyden, 50/52, Wigmore Street, W.1
(służba dzienna i nocna)

Wm. Martindale, 75, New Cavendish Street, W.1
Wallas & Co., 45, New Cavendish Street, W.1

wszystkie pod ścisłą kontrolą

SAVORY & MOORE LIMITED
Aptekarzy Jego Królewskiej Mości

143, New Bond Street

LONDON

W.1

MINISTER STAŃCZYK O KWESTII ŻYDOWSKIEJ

Minister pracy i opieki społecznej Jan Stańczyk wygłosił w Klubie Anglo-Palestyńskim w Londynie odczyt na temat kwestii żydowskiej w Polsce.

Antysemityzm, to hańba ludzkości — powiedział p. Stańczyk. Jest on, nieodrodnym dzieckiem nacjonalizmu w jego potwornej, zwyrodniałej formie i treści — nienawiści narodowej i rasowej. Krajem takiego zwyrodnienia nacjonalizmu są Niemcy. Tylko w Niemczech mógł Hitler, ze swoją prymitywną umysłowością i wulgarną teorią rasizmu stać się prorokiem. Tylko w Niemczech p. Alfred Rosenberg mógł uciekać za miedzą, gdy w innym kraju byłby kandydatem na lokatora zakładu dla umysłowo chorych, w najlepszym zaś razie traktowany jako pożałowania godny maniak¹⁾.

W Polsce — podkreślił minister Stańczyk — istniał antysemityzm wywołany wadliwą strukturą gospodarczą kraju, znacznym skupieniem Żydów przedewszystkiem w handlu, oraz propagandą niemiecką. Były także stronnictwa, które głosząc hasła antysemickie starały się pokryć niemi istotne powody nędzy mas i zdobywać zwolenników wśród bezkrytycznej części drobniomieszczanstwa. W istocie jednak, poza częścią młodzieży wyższych uczelni i bezrobotnej inteligencji, szerokie masy społeczeństwa polskiego nie poddały się antysemityzmowi. „Co więcej, — stwierdził minister, — masy robotnicze i ludność wiejska, wiec 80% społeczeństwa polskiego, zajęły zgodnie ze stanowiskiem swoich partii politycznych, Polskiej Partii Socjalistycznej i Stronnictwa Ludowego, wrogą postawę wobec propagatorów hasła antysemickiego i antysemityzmu”.

Następnie prelegent dał wyraz głębokiemu przekonaniu że po obecnej wojnie antysemityzm nie dojdzie do głosu w Polsce. Próby niemieckie poróżnienia ludności polskiej i żydowskiej w pełni zawiodły. W obliczu przesładowań Polacy i Żydzi jednocześnie są jak nigdy przedtem. Ludność polska w Warszawie z narażeniem życia zapatruje mieszkańców getta w żywność, chroniąc ich w ten sposób od śmierci głodowej. Robotnicy polscy w Warszawie wydali odepnę wyjątkową ohyde getta i świadczą o bratnich uczuciach dla zamkniętych w nim robotników żydowskich.

W odrodzonej Polsce potrzeba będzie wielu rąk i mózgów do pracy nad odbudową. Gdy zaś Polska zmieni swą jednostronną strukturę kraju rolniczej i rozbuduje przemysł, wszyscy będą mogli znaleźć zajęcie. Gdyby — powiedział minister Stańczyk — dzisiejsza Polska mogła dodatkowo zatrudnić 6 milionów ludności wiejskiej w przemyśle i handlu, wówczas 3 miliony Żydów, zajmujących się handlem i rzemiosłem, stałyby się drobną mniejszością ogółu obywateli polskich zatrudnionych w tych zawodach.

„Wierzę — zaznaczył p. Stańczyk — że w przyszłej Polsce, w Polsce rozwijającej się gospodarkę po linii interesów całego narodu, nie będzie antysemityzmu ani uczuciowego ani gospodarczego”.

Gdyby jednak sprawa emigracji Żydów z Polski powojennej była aktualna, rozwiązać ją należałoby przy zgodnej współpracy z Żydami i zapewnić im odpowiednie tereny do osiedlenia. „Wszelki antysemityzm musi być potępiony nie tylko dlatego, że jest sprzeczny z uczuciami ludźmi, że jest niegodnym człowieka barbarzyństwem, że jest ideą nienawiści zamiast miłości, ale i dlatego że uniemożliwia harmonijne współżycie Żydów z resztą społeczeństwa polskiego”.

Minister Stańczyk wyraził przekonanie, że „Polska silna swoimi granicami i rozwojem gospodarczym, mogąc zapewnić dobrobyt wszystkim obywatelom, leży w interesie zarówno Polaków jak Żydów zamieszkających nie tylko w Polsce lecz i na całym świecie”.

Na zakończenie minister Stańczyk przytoczył deklarację rządu polskiego w sprawie żydowskiej, ogłoszoną dn. 3 listopada 1940 r.

„Stuchacze powitali wywody ministra Stańczyka bardzo serdecznie; zarówno przewodniczący zebrania p. Horowitz jak i członkowie zgromadzenia syjonistycznego Locke podkreślił zgodnie z ministrem Stańczykiem, że w interesie Żydów leży stworzenie silnego państwa polskiego, któreby miało duże możliwości rozwoju gospodarczego”.

LA BELLE MEUNIERE

5, Charlotte St., W.1, tel. MUSeum 1134

poleca swoje specjalności regionalne, wino rosé i burgunda

Kto raz nas odwiedził, ten stale wraca na śniadania i obiady

W poprzednim 6-stronicowym numerze (61)

„Wiadomości Polskich” (6 ilustracji): Stan-

slaw Strzelcelski: Göring poluje na rysie.

Jan Lechoń: Ostatnia scena z „Dziadłami”.

Maria Pawlikowska: A Cup of Tea: Zbombaradowany, bezdomny, ranny...

Niebo wojenna. Ann. George. — Adam

Pragier: Kapitulacja Francji. — Florian

Sokołowski: Socjaliści angielscy w rządzie: Mjr.

Attlee, Arthur Greenwood, Hugh Dalton,

A. V. Alexander. — Zygmunt Nowakowski:

Krwawy funt. — Ignacy Wieniewski: Gre-

cja-rodzica. — Zbigniew Grabowski: Książki

angielskie: Emigranci Spengler. Przej-

skrawione oskarżenie. Jeszcze jedno wyzna-

nie słabości. — Krzysztof Nienaszi: O Anglii.

Obcy o inicjatywie Polski w latach 1933 i

1936. — Alfa: Rozmaitości. — Korespon-

dencja. — Skarbnica Polska. Kazimierz

Tamajer: Ze „Skalnego Podhala”. Bron-

istawa Ostrowska: Bajka moralna o trzech

stronach i bogatym królewiczu. Daniel

Naborowski: Na ocy królowej angielskiej.

Andrzej Strug: Cienie.

POLKI ODWIEDZAJA SALON FRYZJERSKI

LUIGI, 46, Buckingham Palace Rd., S.W.1

Mówi się wszystkim językami międzynarodowymi

Prosimy o zapowiedź telefoniczną pod VICTORIA 9508

ŻYCIE P.E.N. CLUBOW

Z inicjatywy Jules Romaina, naczelnego prezesa wszystkich organizacji P.E.N.-Clubowych w świecie, powstał w Nowym Jorku, niezależnie od P.E.N. Clubu amerykańskiego, P.E.N. Club europejski, grupujący licznych pisarzy, którzy przybyli do Stanów Zjednoczonych jako uchodźcy wojenni. Celem tej nowej organizacji międzynarodowej, mającej zamiar współpracować z P.E.N. Clubem amerykańskim, jest stworzenie wspólnej platformy ideowej dla nowej, powojennej Europy, oraz walka o urzeczywistnienie demokratycznych i humanistycznych warunków duchowego i społecznego bytu w nowym świecie, wolnym od tyranii. Przewodniczącym P.E.N. Clubu europejskiego jest Jules Romain, do rady naczelnej weszli następujący pisarze: Raul Auerheimer (Austria), Ferdinand Bruckner (Austria), Lion Feuchtwanger (Niemcy), Robert Goffin (Belgia), Adolf Hoffmeister (Czechosłowacja), Thomas Mann (Niemcy), Maurice Maeterlinck (Belgia), Jacques Maritain (Francja), Somerset Maugham (Anglia), André Maurois (Francja), Karin Michaelis (Dania), Ferenc Molnar (Węgry), hr. Carlo Sforza

SKARBNICA POLSKA

STANISŁAW TREMBECKI

Oda : balon

Nil mortalibus arduum (Horacy)

Gdzie tylko bystrym orzeł polotem
Pierzchniwe pogania płaki,
A gniwowy Jowisz ognistym grotem
Powietrzne przeryza szlaki,

Niezwykłych ludzi suchwała para,
Znikają sprzed oczu prawa,
Wznawia tor, kłęska sławny Ikara,
I na podmieńcu już stawa.

Nabrzmiwały kruszców zgorzłych duchem
Kryg lekkiej przodkowie łodzi,
Los dla niej rudem, nici łańcuchem,
Z wiatrami w zapasy chodzą.

Już im te złota wyniosłe pycha
Znikają sprzed oczu domy,
W gruzów nikczemnych potrzaskę licha
Wzrok przeistoczył poziomy.

Król, wódz, senator, kmięć pracowity,
Czy rządzą, czy rylce ziemię,
W białych się zlepkach czołga ukryty,
Jak drobne robaczków plemie.

Jak z kilku kropel strumyk, kresłony
Dzielnym palcem na stole,
Ledwo się sączy na tym padole
Nurt szumnej Wisły zmieniony.

CYPRJAN NORWID

Na zgon ś.p. Jana Gajewskiego

polityczno - polskiego emigranta, inżyniera francuskiego,
zabitego eksplozją maszyny parowej w Manchester,
1858 lipca

I
Długo patrzyli ludzie prostej wiary
Na dziwościwie osiaty zachodniej
I myśleć śmieli : że to do pochodni
Skradziony ogień Boga — bez ofiary !...

II
Myśleć i szemrać, że Lucyfer stary
Podchwyci święte wzajemności ludów,
Nie heroizmu i miłości cudów
Używszy — — — ale wyzysku i pary...

III
Lecz TEMU, który jest wszystko, jest
wszędzie,
Nim wszystkim wszędzie oprócz się
— — — — —
Boga pierw zrania i krzyż znowu będzie,
Drugi a tenże sam, bo z ludzką twarzą.

IV
Tak, Epopeje gdy maszyna zgniotła,

MARJA KONOPNICKA

Przed sądem

Drobny, wychudły, z oczami jasnemi,
W których tży wielkie i srebrne wzbierały
I gaski w rzęsach spuszczonych ku ziemi ;
Błady — jak niedza, a tak jeszcze mały,
Ze mógł rozplakać się i wolać : „matko !”,
Gdyby miał matkę... i mógł stracić psoły,
I pocatunków żądać, i pieszczoty,
I spać na piersiach ojca... a tak drżący,
Jak płak wyjęty z gniazda i już wrzający...
Wielki sierota stał w sądzie przed kratką.

A dziwna była ta sala sądowa :
Wielka — i pusta — i zimna — i chłodna —
I bezlitośna — i też ludzkich słowna —
I nigdy w ustach nie mająca słowa
Miłości bratniej — i taka surowa,
Tak spiskująca ławkami w półkole
Na ludzką nędzę i ludzką nędzę...
Że Chrystus biały, co stał tam w pobliżu,
Zadawał się cierpieć i drzeć na swym krzyżu.
Przy winowajcy nie było nikogo.
I kłoby bronił dziecięcia nędzarzy ?
Chyba te wielkie dwie tazy, co po twarzy
Leżały jak wielkie dżiny iszki drogą...
Chyba dzieciństwo nędz pełne sieroty,
I chyba tylko promyzynek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe...

Wszedł sędzia, spojrzal i rzekł : „Gdzie
rodzice ?”.
„Nieznani” — odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wznosił zgagę, błękitne żrenice
I ścignął światło na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
Zdążyło go zimno i pustka grobowa.
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znów : „Czy w wiosce jest szkoła ?”.
— „Nie”. — Pisarz zwykłe chmurzył był
— — — — —
w urzędzie ;

Przytem pytanie było jakieś dziwne...
Więc się zawałat, czy właściwie będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokole...
Milcząc, sprośował palce swoje styżone
I bębnił zlekka po szarej binule...

A sędzia patrzył na drżącego dziecię,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierze zapadłą i nędzę łachmany,

HENRYK SIENKIEWICZ

Z „WYCIECZKI DO ATEN”

Idzie się wężowatą drogą, pod górę, za-
rosła agawami i kaktusami. Przed sobą i nad
sobą widzi się tylko olbrzymi mur, szary,
pokruszony, który częściowo tylko jest
zabytkiem hellenickim, częściowo zaś wznosi
go łacinnicy, lub nawet Turcy. Spozą zęb
wyglądają trójkątne szczyty, wydłużone prze-
cznie świątyni. Pusto było, gdy m szedł ;
nakoło ani żywej duszy, bo godzina była
południowa i upał, pomimo iż poczęły się już
pierwsze dni listopada. W bocznej bramie
drzemie stary weteran, mijasz go, przecho-
dzisz obok domu, przy którym nagromadzono
marmurowych obłatków. Droga zakręca się
raz jeszcze, wchodzi schodami na górę i
jest w Propylejach, przez które obejmujesz
okiem całe szczytowe płaskowzgórce. Pier-
wsze wrażenie : ruina ! ruina ! cisza, śmierć !
Niektóre zewnętrzne doryckie i wewnętrzne
jonickie kolumny Propylejów, porozuwane,
trzymają się tylko ciężarem głazów ; ściany
straskane, wyszczerbione, przeświecające na
wylot, pooblamywane ; nigdzie, poza tą
sławną bramą, lokcia swobodnego gruntu.
Cała przestrzeń płaskowzgórza zarzucona i
zawalona trzonami kolumn, zrębami pie-
ni, fryzów, obłami metopów, kapiteł,
kostkowymi głazami ścian. Wszystko to,
prócz kilku świątyni, narzucone jedno na
drugie, obsuwające się, zwieszane, pochyle,
spiętrzone, leżące w dżim bezładzie, o
którym nawet Forum rzymskie nie może dać
pojęcia. Podróżnikowi przychodzi do głowy,
że się tu odbyła jakaś straszliwa walka ol-
brzymów, lub olbrzymich sił, od których góra
się trzęsła, pękały mury, aż wreszcie runęło
wszystko i pozostało tylko zniszczenie.

Wieć pierwszym wrażeniem, jakie się
otrzymuje po przejściu Propylei — jest
wrażenie katastrofy.
Chodzi się cicho, bo wszystko, co nas
otacza, tak doskonale umarło, że się nam
nasze własne życie, nasz własny ruch, wyja-
śnienie obec i niewłaściwie w tych mija-
scach.
Gdyby się spotkało znajomego, wolałoby
się z nim nie mówić, tylko spojrzeć mu pyta-
jąco w oczy i przejść i się gdzieś w cieniu i
patrzyć : jak słońce zatapia w blaskach rumo-
wisko.

Bo tu światło, jak już mówiłem, nie pada,
ale, zwłaszcza o tej godzinie, leje się potoki-
mi. I zdawałoby się mogło, że te gorące,
żywe zdroje są czemś przeciwnym ruinie,
temu zniszczeniu i tej śmiertelnej ciszy.
Gdzie tam ! I ruina i zniszczenie zyskują tylko
przez nie większą wyrazistość — niemal
nieubłagana.

Wieć siedzisz, patrzysz na te kamienie
uroczyśko, na zatopione w świetle marmury
Partenonu i Erechtejonu, aż wreszcie coś
wstaje od ruiny, idzie i wstępuje w ciebie.
Zaczynasz się jednać z tym światłem, później
bratać. Wtedy ci jest dobrze, bo wchodzi
w ciebie ogromny spokój, ale to taki ogromny,
jaki tylko może mieć kamień i ruina.

Ich cisza staje się ciszą wędrowca. A przy-
puszczam, że im więcej kto ma duszę obłąka,
tem mu tam musi być lepiej. Chciałoby się
głosem oprzeć o piłast kolumny, zamknąć i
otwierać naprzemian oczy i kość się. Coraz
bardziej robi się swojsko, coraz przyjaźniej
spogląda wędrowiec na te rozległe linie Partenonu,
na białe Erechtejonu i na leżące niżej Propylee.
A trzeba to chyba widzieć, by
pójść, jak się owe złotawe ze starości budowle
rysują w słońcu i błękitach, jaki spokój tych
architrów, tych szerużów kolumn i fronto-
nów ! Prosta, spokojna, powaga i prawdziwie
boski ład, oto one. Odrzuć trudno to do-
strzec ; czar działa zwolna, ale tem mocniej
przenika i wkońcu upaja. I poznajesz, wē-
drowcze, że nie sam tylko spokój dają ci te
arcydzieła, ale że cię upoiły własną pięknością
a co za tem idzie : i słodyczą.

I oto są stopniowe wrażenia, przez jakie się
przechodzi na Akropolu. Gdy jesteś tam na
miejscu, działają one tak silnie, że nikomu do
głowy nie przyjdzie otworzyć drukowany
przewodnik i szukać w nim szczegółów. W
domu dopiero wyczytasz, że świątynia Nike
Apteros niedawno z gruzów została nanowo
złożona ; że lord Elgin zabrał do „British
Museum” jedną z przecznych karjatyd,
podpierających prawy portyk Erechtejonu ;
że tamże powędrowały metopy partenonskie ;
że wrych prochów tureckich był przyczyną
ruiny środkowej części celi jej świątyni ; że
odłwy metopów można widzieć w muzeum,
na tejże skale leżącym ; że w Erechtejonie był
herom baszów i t.p.

W pierwszej chwili również wszystko ci
jedno, że Partenon jest zbudowany w czystym
stylu doryckim, Erechtejon i Nike Apteros są
jonickie, a w Propylejach znajdują się kolu-
my obydwoh porządków. Wiedziałeś to już
przed przybyciem do Aten. Tu wieje na cie
przede wszystkim ogólny duch, a raczej gen
swojej dawnej Hellady — i technia tego roz-
praszać ani analizować nie chcesz.

I wnet wyobraźnia poczyną pracować, za-
czem przedstawia sobie, jak taki Akropol
wyglądał za czasów Peryklesa, gdy wszystko
stało na miejscu, gdy istniały świątynie, po
których już nie ma śladu, a między niemi las
posągów ; gdy Partenon nie był odarty ze
wszystkich swych ozdób ; gdy z dołu można
było oglądać w jego frontonach narodziny
Ateny i po drugiej stronie spójrzeć na Neptu-
nen — a wędrownie Ateny Promachos widać
było aż z morza. Wyobraźnia swoje zwłaszcza
taką procesję Panatenon, kapłanów, archon-
tów, wojowników, lutnistów, lud, byki o
złoczonych rogach, prowadzone przed ołtarz
opistodomu, i wieniec kwiatów, i te draperje
klasyczne, układające się posagowo. Ale
prawie wolę jeszcze przedstawić sobie w
myśli noc i jasnozielone światło księżyca na
marmurach. Aż trudno uwierzyć, żeby ludz
mógł stworzyć taką górę arcydzieł, a jednak
można to sobie wytłumaczyć. Mitologia
grecka była częścią sił przyrody, czyli elemen-
tarnym panteizmem. Ale w duszy Greka
artysta przeważał zawsze nad filozofem, więc
naprzód poci ubrali zjawiska w ciała i
uczucia ludzkie, później przyszła sztuka
plastyczna, a także narodziła się taka cudowna
baśń kamienia.

Atena umiała też sobie wybrać miejsce na
stolicę, bo coż to za to dla tych świątyni i
posągów ! Z jednej strony widać morze,
które w tem przezroczem powietrzu wydają
się tuż ; z drugiej cała Attykę, jak na dłoni ;
góry Hymetu, dalej Pentelikon, na północ
Parnas, a ku południowi zachodowi, ku cie-
ninie Salaminickiej, Dafni. Nad wszystkim
niebo ciągnie pogodnie i orły, których krakanie

przerwa do dziś dnia ciszę na Akropolu.

Wrażenia, jakich doznaje się na widok
innych ruin, są tylko słabszym odbiciem tych
myśli i uczuć, które rodzą się w duszy na
widok zabytków akropoliskich. Dzielnom
Mnesiklesa, Iktinosa i Kallikratesa nie do-
równał już nikt, ani przed Peryklosem, ani po
nim. Oni stworzyli nie tylko Partenon,
Erechtejon lub Propylee, ale zarazem usta-
wili architektralny dogmat, którego odłód
będą się trzymali wszyscy budowniczo-
wie świata starożytnego. Rzymianie pozwola-
li sobie dorzucić luk swój własny, będą wznosić
colossea, termy, cyrki, okragłe świątynie,
naksztalt panteonu Agrypy, ale o wszystko.
Zresztą pójdą śladem owych nieśmiertelnych
poprzedników i od dogmatu nie odstąpią.
Mogą tylko przesadzić arcydzieła akropoliskie
ogromem i czynią też to w samych nawet
Atenach.

Poniżej Akropolu, na wschód od urwiska,
wznosiła się nad Ilissem świątynia Jowisa
olimpijskiego, wykończona ostatecznie do-
piero za czasów cesarza Hadrijana. Dziś, że
120 kolumn, które ją składały, pozostało
tylko 16, mianowicie 13 z jednego końca, a
3 z drugiego. Kolumny owe, czyste koryn-
kie, mają po 6 stop średnicy i po 60 wyso-
kości. Była to największa świątynia na
równinie, skrapianej przez Cefizus i Ilisus.
Titus Livius, mówiąc o niej, powiada, że
była jedyną godną rozmiarów wielkiego
boga, którego została poświęcona (unum in
terris inchoatum pro magnitudine dei). I
być może ! Zeus, jako ojciec Ateny i naj-
potężniejszy z bogów, zasługiwał na pote-
niejszą świątynię, ale Atena, będąc patronką
Aten, była zarazem boginią mądrości, więc
Zeus mógł mieć tylko zolbrzymione odbicie
pierwowzorów i pierwoksztaltów, które wy-
szły bezpośrednio z myśli, przez „sowiooką”
natchnioną.

Nie wypada z tego bynajmniej, abym miał
tworzyć akropoliskich świątyni uważać za
pierwszych wynalazców greckich porządków.
Przeciwie, rzekłem tylko, że oni ustalili
dogmat, bo umieli stać się ostatnim i naj-
wyższym wyrazem architektury greckiej, jak
Fidjusz był swego czasu najwyższym wy-
razem rzeźby. Ale przeciw świątyni Tezeu-
sa, tak podobna w mniejszych rozmiarach
do Partenonu, stanęła przed Partenonem,
równie jak zapewne i wiele innych, po których
zostały jeno gdzieniegdzie osamotnione ko-
lummy. Ow Tezejon jest najlepiej zachowa-
nym zabytkiem przeszłości. Na Akropolu
była forteca, więc gmachy, tam stojące, na-
rzone były na wszelkie ciosy wojny, a w
nowszych czasach na bombardowanie. Teze-
jon stał w środku miasta. Ulegał on raz
zmianom tylko wewnętrznym, gdy ze świą-
tyni poganiał się przerabiano go na chrześ-
cijański kościół. Zburzono wówczas kolumny
wewnętrzne pronaosu, a natomiast zbudowa-
no półkolistą wieżę, w której mieścił się
oltarz ; wybito niszę bramę w murze, od-
działającą cellę od opistodomu, i oczywiście,
wyrzucono wszelkie posągi ze świątyni.
Dziś w środku widać tylko cztery nagie ściany.
Światło z trudnością przenika do wnętrza,
które zamieniono na rodzaj muzeum, al-
bowiem ustawiono w niem bądź odłwy gip-
sowe, bądź okruczy rzeźby, zdobywające daw-
niej świątynię. Jak mówiłem, przypomina
ona Partenon, ale stojąc na płaszczyźnie, nie
sprawia tego imponującego wrażenia, zwsz-
czają się i rozmiary jej są daleko mniejsze.
Partenon miał w długości po siedemnaście
kolumn, Tezejon ma ich tylko po trzynaście i
daleko drobniejszych. Partenon miał w
szerokości osiem kolumn, Tezejon jest ob-
sadyłem. Wreszcie był daleko mniej ozdobi-
ny, bo Fidjusz zapełnił oba frontony akropo-
litańskiej świątyni posągami i wszystkie me-
topy płaskorzeźbą. Tezejon miał tylko fryz
na zewnętrznym murze celi, a metopy tylko
na wschodnim boku, pokryte płaskorzeźbą,
wystawiającą czyni Tezeusza, dokonane przy
pomocy Heraklesa. Wschodni fronton posia-
dał także rzeźby, z których 5 ich nie nie zo-
stało.

Alle to są szczegóły, które miałyby war-
tość wówczas tylko, gdybyśmy mogli dodać do

nich przynajmniej rysunki tych gmachów.
Świątynia Tezeusza dlatego jest ciekawa, że
zachowała się dobrze i że daje nam zatem
dokładniejsze pojęcie o architekturze doryc-
kiej, zarazem tak poważnej i pogodnej. Stoi
ona na olbrzymim placu, na którym niemasz
ni drzewa, ni żdźbła trawki, więc jej złotawe
ze starości kolumny odbijają się z jakimś
melancholijnym wdziękiem na owem szarem
tle.

Z placu widać skały Pnyksu. Było to
niegdyś miejsce zgromadzeń ludowych. Schody
kamienne, powykowane tu i owdzie w
skalach, wskazują, którędy przechodziły
gminy, aby się dostać na najwyższy taras, z
którego widzi się pod stopami Ateny, po pra-
wej ręce Muzeum, wprost Akropolis. Budowli
niema tu żadnych, są tylko ślady olbrzymiej
trybuny, zwanej w starożytności Bema, na
której zasiadał lud podczas obrad. Skały te,
całkowicie ogolone z roślinności, stoją wie-
cznie pustką : nie spotkałem na nich żywego
ducha, gwar miejski tu nie dochodzi, ciszę
przerwa tylko czasem krakanie orłów. Mi-
mowolę przychodzi na myśl wiersz Słowac-
kiego :

Tu po kamieniach z pracowną Arachną
Kłóci się wietrzyk i rwie jej przedziwo,
Tu ezbary smutne gór spalonych pachną.
Tu wiatr, obiegłszy górę ruin siwą,
Napędza nasion kwiatów, a te puchy
Chodzą i w grobach latają, jak duchy.

Nie tak cicho, ale równie pusto jest na
Areopagu, leżącym na skłonie akropoliskiej
góry. Prócz miejscowości uświęconej trady-
cją i głębokich szczelin w skalach, zarzuco-
nych śmieciami, niemasz tam nic do wi-
dzenia.

W samem mieście i w jego okolicach jest
jeszcze nieco zabytków godnych uwagi, jak
oto : stoa Adrijana, stoa Attala, Agora, wieża
wiatrów, mała kapliczka Lisikrata, luk
Adrijana i pomnik Filopaposa, wreszcie od-
kryty przed niedawnymi czasami cmentarz
Hagia Triada, na którym można widzieć kilka
pięknych, nawet bardzo pięknych grobowców.
Ale nie usiłuję dać opisu ruin, zdaje tylko
sprawę z wrażeń, więc zatrzymałem się głów-
nie na Akropolu, który najściszej przemawia
do duszy, bo streszcza w sobie wszystko co
najpiękniejszego wydała cywilizacja helleniska
w zakresie sztuki plastycznej i całą potęgę
greckiego geniuszu. Tocydydes zapewne
Akropol miał na myśli, mówiąc, że gdyby
Ateny kłęsce uległy, sądzono by z ruin pozos-
tały, że były miastem dwakroć potężniej-
szem, niżeli są w istocie. Ateny jednak były
jeszcze czterokroć razy potężniejsze, niż to
przypuszczał Tocydydes. Oto dawne miasto
kłęsce uległo i leży w gruzach, ale geniusz
miasta stworzył zbyt wiele, aby ludzkość
mogła kiedykolwiek zapomnieć, ile mu winna.
Zapominała i tak zbyt długo, ale takie ob-
wiązki narzucają się zarówno pamięci jak
sumieniu. Dzięki tym uczuciom, wydarto ową
sławną ziemię Turkom. Nie sam tylko in-
teres polityczny nakazywał wskrzeszenie
Grecji, ale dla Europy był to dług do spła-
cenia, była to kwestja poprostu wstydu. Są
rzeczy, których najbardziej nawet rozlu-
nadesz sumienia ścierpieć nie mogą, i oto
nadesza chwila, w której zabużwały armaty
pod Nawarynem. Ale bądźmy pewni, że
gdyby nie owo olbrzymie „credit”, które na
rachunek Grecji zapisała cywilizacja, gdyby
nie jej sława i czyny, gdyby nie pieśni
Homera, nie wspomnienia Maratonu i Sala-
miny, nie te ruiny akropoliskich arcydzieł,
baszowie do tej pory mieliby swoje haremny
w Erechtejonie, a ze szczytów Akropolis po-
wiewałyby chorągiew Proroka. Więc gdy
powiadam, że Grecję dzisiejszą odbudowali
Homer, Milcjasz, Leonidas, Temistokles,
Fidjusz, Perykles i inni bohaterowie lud-
genusze tej miary, nie będzie to figurą re-
toryczną, ale dziejową prawdą. Pracując dla
sławy swego narodu, pracowali, nie wiedząc o
tem, dla jego odrodzenia — i tacy nieśmier-
telni agenci sprawili, że Grecja żyje.

HENRYK SIENKIEWICZ.

BOLESŁAW PRUS

CIE NIE

Kiedy na niebie dogassają blaski słońca,
z ziemi wynurza się zmierzch. Zmierzch —
wielka armja nocny, o tysiącach niewidzial-
nych kolumn i miliardach żołnierzy. Potę-
na armja, która od niepamiętnych czasów
pasuje się ze światłem, pierzcha każdego
poranku, zwycięża każdego wieczoru, panuje
od zachodu do wschodu słońca, a w dzień,
rozbita, chowa się po kryjówkach i czeka.

Czeka w górskich przepaściach i miejskich
piwnicach, w gęszczu lasu i w głębi ciemnych
jezier. Czeka, kryjąc się w przedwiecznych
jaskiniach ziemi, w kopalniach, po rowach, w
kątach domów, w załankach murów. Roz-
proszona i napozór nieobecna, wypełnia jed-
nak wszystkie skrytki. Jest w każdej szczeli-
nie, leży pod najmniejszym ziarnem piasku,
czepia się najcięższej nici pajęczej i czeka.
Wypłoszona z jednego miejsca, w okamgnie-
niu przenosi się na inne, korzystając z lada
spłoszenia, aby powrócić tam, skąd ją
wypniono, wdrzeć się na niezajęte stano-
wisko i zalać ziemię.

Kiedy gaśnie słońce, armja zmrozków ge-
stemi szeregami wysuwa się ze swych ucieczek,
cienia i ostrożna. Zapelnia korytarze domów,
ściany i źle oświetlone schody ; spod szaf
i stołów wypelza na łożyska pokojów i obsiada
franki ; przez ludy piwnie i szyby okien
wysuwa się na ulice, w głuchem milczeniu
sturmując ściany i dachy i zaczynają na
szczytach, cierniowie czeka, aż na zachodzie
złębna różowa obłoki.

Jeszcze chwila, i nagle zerwie się olbrzymi
wybuch ciemności, sięgającej od ziemi do
nieba. Zwierzęta skryją się po łogowiskach,
człowiek ucieknie do domu ; życie, jak roślina
bez wody, skurczy się i pocnie usychać.
Barwy i kształty rozpiągną się w nicestwie ;
trwoga, błąd i występki obejmą panowanie
nad światem.

W takiej chwili, na pustoszejących ulicach

Warszawy ukazuje się dziwna postać ludzka,
z drobnym pływakiem nad głową. Szybko
biegnie przez chodnik, jakby ją ścigali
ciemności, przy każdej latarni zatrzymuje się
na mgnienie i roznieciwszy wesołe światło,
znika jak cień.

I tak każdego dnia w roku. Czy na polach
wiosna dyszy zapachem kwiatów, czy sroży
się lipcowa burza, czy rozchukane na ulicach
jesienne wichry miotają tumanami kurzu, czy
w powietrzu kłębią się zimowe śniegi — on
zawsze, skoro tylko nadejdzie wieczór, ze
swym pływakiem przebiega miejskie chod-
niki, roznieca światło, a potem znika jak
cień.

Skąd się bierziesz, człowieku, i gdzie kryjesz
się, że nie znamy twoich rysów, ani słyszemy
głosu ? Czy masz żonę albo matkę, która
czeka twego powrotu ? Albo dzieci, które
postawisz w kącie twoją latarkę, wdzierając
ci się na kolana i obejmując cię za szyję ? Czy
masz przyjaciół, którym opowiadasz swoje
pociechy i zgrzyoty, albo choć znajomych, z
którymi mógłbyś porozmawiać bodaj o
codziennych zdarzeniach ?

Czy wogóle posiadasz jaki dom, w którymby
się znaleźć można ? Imię, którem można
ciebie zawałać ? potrzeby i uczucia, któreby
cię robiły takim, jak my, człowiekiem ? Czyli
też jesteś naprawdę istotą bezkształtną,
milczącą, nieujęta, co ukazuje się tylko
o zmroku, roznieca światło, a potem znika
jak cień ?

Odpowiedziano mi, że jest to naprawdę
człowiek, a nawet danu jego adres. Poszedłem
do wskazanego domu i zapalałem stróża :

— Czy u was mieszka ten, co zapala
latarnie po ulicach ?

— U nas.

— A gdzie ?

— W tamtej komórze.

Komórka była zamknięta. Spojrzałem
przez okno, ale tylko zobaczył tapczan przy

Fraszki

z antologii Juljana Tuwima

NIEPOTRZEBNE RZECZY

Ośm rzeczy są najgorsze, które przeszkadzają
Nam w Rzeczypospolitej i szkody działają :
Sędzia w prawie fałszywy, kupiec który
szczydzi,
Lichwiarz z swemi pieniędzmi, a z Cygany
Żydzi.

Pochlebce też w tym ceczu u panów na dworze,
I owe usztecniczne, i ten, co nie orze.
Wyżenmyż tę szaranczą, bo próżno chleb
jedzą,

Używają nie robiąc i w pokoju siedzą.

ADAM WŁADISŁAW JUSZ.

**

Księgi, wiersze, dzienniki, płatni uwielbiać.
Pełno dzieł heroicznych, a jednak lud płacze,

IGNACY KRASICKI.

SNYCERZ

Snycerz za to, że sobie na kłocu odpoczął,
Siatkę Herkulesa robić z niego począł.
Jeszcze ręk nie dokończył, aż rycerz zuchwały
Nie kontent że był w siemi, chciał osiąść dom
cały.

Złakł się snycerz nad takim wdzięczności
owocem,

Uciął nogi i ręce, kłoc został się kłocem.

FRANCISZEK ZABŁOCKI.

NIEMOŻNOŚĆ

Ktoś radził tulaczowi, żeby do Moskali
Pisał prośbę, co jemu majątki zabrali ;
Ten rzecze : „Pisać do nich chcę moja goraca,
Ale nie mam czem pisać : brak mi dział
tysiąca”.

ANTONI GORECKI.

PATRIOCI

Ojczyzna żyje zawsze z tą jedną odmianą,
Ze dawniej życie, mienie, w ofierze dawano,
A teraz do Ojczyzny każda sięga dłoń.
Od takich patriotów Pamięć Boże broni !

ALEKSANDER HR. FREDRO.

PRZESADY

Odrzuciłeś przesady, tradycje odwieczne,
A natomiast wprowadzasz własne,
niedorzeczne.

Zle ten czyni, kto wiarą swych ojców
pomiała,

Gorzej, kto nią nicości polityczne tula.

LUCJAN SIEMIENSKI.

**

Ktoś, polityczne badając życie,
W taką formułkę wjął programy i
„Obywatele, którzy siedzącie,
Wstaniecie, bo usiąść my już chcę mamy”.

MIKOŁAJ BIERNACKI

(RODOC).

NA FEWNEGO DZIENNIKARZA

Już się ktoś urodził,
Kto wszystkim dogodził.

LEO BELMONT.

DROGA URZĘDOWA

Od idąco do idąco
idzie sobie, panie złoty,
papier.
Wreszcie w mecie, w wielkim pocie
zwrócił idąco idąco
papier.

K. I. GAŁCZYŃSKI.

MARJA KONOPNICKA.